

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 31

Wtorek, 1 września, 1942

Cena (Price) 1/-

TREŚĆ:

Czwarty rok wojny
Kryzys zaufania — Mieczysław Harusewicz
Emigracja niemiecka
Wiersze ś. p. Stefana Borsukiewicza — Jerzy Pietrkiewicz
Horyzont wojenny — Zastępca
"O arogancji i uczciwym wysiłku myślowym" — Zastępca

Z prasy i publicystyki: Planowanie Europy
Sprawy polskie
Zagadnienia kościelne
Z prasy żydowskiej
Książka: Last train from Berlin
Bogusławski po angielsku
Listy do Redakcji: Z dziedziny dyplomacji

CZWARTY ROK WOJNY

NA los narodu polskiego wpływały nie tylko oddziedziczone właściwości Polaków, ale i warunki polityczne i geograficzne, w jakich mu żyć wypadło. Zaborcze potęgi sąsiadów zachodnich i wschodnich na pewno nie ułatwiały życia Polsce. Naród polski musi posiadać walory wyjątkowe, skoro nie tylko nie został w przeciwnościach otoczenia złamany, lecz — przeciwnie — przetrwał wszystkie trudności i wyszedł z nich jako silna duchowo i pełna fizycznie jednostka, pozytywnie oddziaływująca na współżycie społeczności międzynarodowej.

Spiesząc na ratunek zagrożonym innym narodom i państwu Europy — pod Lignicą czy pod Grunwaldem, pod Wiedniem czy pod Warszawą — naród polski bardzo często umiał przyjmować odpowiedzialność za losy całej Europy. Nie zawiódł też 1 września 1939 roku. Znow los całej cywilizacji, na tym zakręcie historii, był przez pewien czas w rękach narodu polskiego. Dziś, gdy wojna wkracza w czwarty rok krwawych zmagañ całego świata, wiemy już na pewno, iż gdyby nie decyzja Polski przeciwstawienia się Niemcom — powzięta z całkowitą świadomością ściągnięcia na siebie nieszczęść, których wyobraźnia pomieścić nie mogła — potęga niemiecka runęła by zniechacka na nieprzygotowane państwa i społeczeństwa Europy Zachodniej, łamiąc zapewne ich opór lub terrorem tylko przyszłej walki wymuszając powolność niemieckim żądaniom. Jeżeli więc Lord d'Abernoon nazwał Bitwę Warszawską w 1920 r. jedną z bitew decydujących o losach świata, to decyzja narodu polskiego z września 1939 r. tym bardziej urasta do tego znaczenia i roli.

Wojna trwa trzy lata dla narodu polskiego i bynajmniej natężenie jej od 1 września 1939 r. nie zmalało ani na chwilę, nie maleje i w tym momencie. Kraj cały trwa w walce. Nie ma u nas nie tylko Quislinga i Hachy, ale nawet Nedicza lub Tsolakoglu. Dalekie szlaki Azji Północnej, Centralnej i Przewodzą bieleją znowu kołmi polskich żołnierzy i zesłańców.

W sierpniu 1942 przy końcu trzeciego roku wojny umęczona Warszawa znowu zaznała bomb, pożarów i zniszczeń . . .

Spodziewajmy się, że czyny narodu polskiego spotkają się z oceną, na jaką zasługują. Spodziewajmy się, że o ile nie zamilkną głosy żywych Polaków, zalecających Polsce zastępowanie się w oczach "świata" i twierdzących, że to inni prowadzą wojny dla nas, a nie porówni i my dla nich, — że wtedy przemówią głosy Poległych. Że zawołają, iż ofiara naszej krwi niewinnej nie została złożona za różne anonimowe abstrakcje i utopie, wylęgane w gabinetach mędrków, usiłujących narzucić narodom cierpiącym swoje materialistyczne wizje świata bezimiennych robotów, — lecz że krew polska przelana na polu bitew i pod murami więzień domaga się Sprawiedliwości. A sprawiedliwość to wynagrodzenie krzywdy, którzy ich doznali i ukaranie tych, którzy je spowodowali.

Sprawiedliwość w życiu jednostki wymaga uznania i wynagrodzenia za czyny pozytywne dla otoczenia, wynoszenia tej jednostki na wyższe szczeble hierarchii społecznej w miarę, jak zdaje egzamin ze swej wartości i znaczenia dla społeczeństwa. Tak samo być winno wśród społeczności narodów. Skoro ta wojna toczy się o ratowanie całego dotychczasowego dorobku ludzkości, a Polska przed trzema laty pierwsza na tę drogę wkroczyła, poświęcając się dla innych, bardziej wygodnych lub nieświadomych niebezpieczeństwa, godziwym jest, by w hierarchii narodów europejskich Polska zajmowała miejsce właściwe.

Zamiast zwyczajnych wspomnień o tym, co było trzy lata temu, trzeba wyłożyć pewne prawdy najprostsze. Obecne wysiłki polskich czynników odpowiedzialnych nie są wystarczające, aby zapewnić przyszłej Polsce należną jej w Europie pozycję. Tym bardziej więc daleko do tego, żeby rozumieli to dostatecznie obcy, którzy dowiedzieć się o tym powinni przede wszystkim od Polaków. Nieprzyznanie zaś narodom polskiemu — mimo jego bohaterstwa, godności i niezachwianej wierności głoszonemu ideałom — istotnej roli w życiu Europy, pozostałoby luką, w którą znow wcisnąłby się imperializm niemiecki w dążeniu do destrukcji pokoju i konstrukcji następnej wojny.

Mieczysław Harusewicz

KRYZYS ZAUFANIA

W PIERWSZYCH latach po zamachu majowym zwycięski regime zdołał narzucić ogromnej części naszej opinii przekonanie o niedojrzałości politycznej i państwowej społeczeństwa polskiego. Powoływano się na niedomagania naszego parlamentaryzmu w okresie lat 1919–1926, na przejawiający się w różnych dziedzinach brak wyrobienia obywatelskiego i wskazywano na długi okres niewoli, jako na przyczynę zaniku instynktów społecznych i państwowych. Zresztą sam fakt udanego zamachu stanu i ujawniona w związku z nim indolencja rządu i sejmu, najwięcej zdawały się przemawiać za słusnością powyższej tezy. Na tle tych faktów, i w konsekwencji umiejętnie prowadzonej propagandy przed i po zamachu majowym, wyraźnie zarysował się kryzys zaufania do społeczeństwa. Znaczna część społeczeństwa poprosła sama do siebie straciła zaufanie i biernie, a nawet z pewną nadzieją i wiarą, poddała się rządowi zespołu ludzi posiadających jakoby wyłączny monopol na mądrość polityczną, zdolności państwowe—twórcze i gotowość do ofiar.

Historyk opracowujący sumiennie ten okres naszych dziejów, jaki się zaczął w kilka lat po zmartwychwstaniu Rzeczypospolitej, nie będzie mógł pominąć dominującego w różnych środowiskach zjawiska, które nazwalibyśmy kryzysem zaufania do społeczeństwa. Szczytowym przejawem tego zjawiska było przejście z rozwiniętymi sztandarami całej Polskiej Partii Socjalistycznej z terenu demokratycznego ustroju, opartego na demokratycznej konstytucji marcowej, na nowy i narazie nieznany grunt, stworzony w drodze dyktatorsko-wojskowego zamachu stanu.

W jakim stopniu istotny stan rzeczy usprawiedliwiał powstanie i istnienie tego niebezpiecznego i smutnego w skutkach kryzysu? Wiele bardzo ważkich dowodów można przytoczyć, które dobitnie stwierdzają wysokie wartości wykazane w tych czasach przez społeczeństwo polskie. Zachodzi pytanie czy możliwe jest, by to samo społeczeństwo, które samorzutnie i sprawnie rozbroiło obu okupantów, obroniło Lwów, zorganizowało i skrwawiło się w powstaniach śląskich, wyzwoliło zbrojnym wysiłkiem Wielkopolskę i wreszcie określiło się jako wielki, wspaniałym duchem owiany, naród, własną wolą i ramieniem decydujący o losach Europy w 1920 r. na przedpolach Warszawy, Radzyna, Płocka, i Modlina, — by to społeczeństwo mogło w przeciągu niespełna 6-ciu lat stoczyć się na dno warcholstwa, zaniku wartości obywatelskich i upadku instynktów państwowych, co usiłowano weń tak gorliwie wmówić. Historia pierwszych lat naszej niepodległości już dziś mogłaby wykazać, jaki udział miały obce, wrogie nam ręce we wszystkich przyczynach ówczesnych naszych niedomagań państwowych i ustrojowych, oraz przejawach lekkomyślności i nierządności. Jeśli w każdym momencie krytycznym dla narodu polskiego pewne wewnętrzne, a wrogie nam czynniki, za poduszczeniem z zewnątrz, podnoszą skrytobójczą dłoń, by wymierzyć nam cios w plecy, to niema najmniejszej racji przypuszczać, że w okresie pokojowym i normalnym te same czynniki nie prowadzą żadnej wrogiej nam działalności i stanowią w pełni lojalny element obywatelski. Jeśli możliwe były w 1920 r. skrytobójcze strzały do naszych walczących żołnierzy nietylko na ulicach miasteczek wschodnich, ale nawet i w Płocku, a na terenie Białegostoku walczył z nami nawet cały bataljon złożony z obywateli polskich, jeśli w 1939 roku ujawniła swą bezlitosną, zdradziecką działalność nie tylko V-ta kolumna na Śląsku, Pomorzu,

Wielkopolsce, ale też natychmiast, automatycznie podniosła się zbrodniczą dłoń innej wewnętrznej kolumny znowu w Białymstoku, Kamieniu Koszyrskim, Kowlu, Pińsku i Drohiczynie, — to nietrudno sobie dopowiedzieć, że również i w takich momentach jak wypadki krakowskie w 1923 r., gdy na historycznym Rynku ginęli żołnierze 8-go Pułku Ułanów, a tłum rozbrajał bataljon piechoty, lub jak zamach majowy, nasze wewnętrzne wrogie agentury i elementy napewno nie były bezczynne.

A czy np. wpędzenie rządu i administracji państwowej w ślepy, zbrodniczy zaulek bezlitosnej walki z kwiatem polskiej młodzieży, gdy po więzieniach i Berezach doprowadzano do ruiny zdrowie oficerów rezerwy, podchorążych lotnictwa i absolwentów szkół morskich, można wyobrazić sobie bez udziału obcej kolumny?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że olbrzymia większość przewin i przywar, jakie gorliwie przypisywano społeczeństwu polskiemu w okresie lat 1920–1926, a także później, wcale nie obciąża jego rachunku i sumienia. Z tego trzeba sobie wyraźnie zdać sprawę, jeśli się chce uzyskać obraz prawdziwy i ustalić hierarchię istotną wartości w rzeczywistości polskiej. Olbrzymia większość smutnych przejawów t. zw. sejmowładztwa nigdy nie miała by była miejsca, gdyby społeczeństwo polskie przez swoich przedstawicieli sejmowało samo ze sobą i dla siebie, bez obcej ingerencji w jakiegokolwiek bądź postaci. Należy dodać, że aczkolwiek okres długoletniej niewoli uniemożliwiał wyrobienie obywatelskie w zakresie normalnego współżycia i współpracy obywateli z administracją i wszelkimi organami państwowymi, tym niemniej samo najważniejsze podłoże wszelkich zalet obywatelskich — patriotyzm —, nie tylko przez niewolę nie został osłabiony, lecz przeciwnie: rozbudzony, wysubtelniony i wyostrzony. Byliśmy więc przede wszystkim Polakami, a dopiero potem obywatelami Państwa Polskiego. W tym okazuje się nawet nasza siła i moc, która sprawia, że czy państwo własne na polskiej ziemi mamy, czy go chwilowo nie mamy, Polska jest, trwa i znowu własnego bytu niepodległego dobija się.

Prawda o wysokiej wartości społeczeństwa polskiego ujawniła się z taką zdecydowaną mocą w miesiącach poprzedzających wybuch obecnej wojny i buchnęła takim płomieniem najwyższej ofiarności we wrześniu 1939 r., że poprostu rumieniec wstydu i gorzka pogarda przypląwa na myśl o tych niepowolanych mentorach i zelantach, którzy śmieli, wspinając się na fałszywych koturnach, wygłaszać ujemne sądy o społeczeństwie i udzielać upomnień tudzież pouczeń. A że ten wspaniały zryw naszego narodu nie był słomianym ogniem, że się nie wypalił równie prędko jak wybuchł, lecz trwa, chociaż w innej wyraża się formie, siła jego nie słabnie i ofiary nie maleją, — na to chyba dostateczne dowody każdego dnia i każdej nocy składa kraj, polscy lotnicy, marynarze, żołnierze.

Takie jest społeczeństwo polskie. Sztucznie zaszczepiony kryzys zaufania doń dawno już rozwiął się w promieniach rzeczywistości i faktów. Na szereg lat przed wybuchem wojny rozpoczął się wyraźny proces powrotu wiary w społeczeństwie we własne siły i wartości. Przejawy tego procesu można było obserwować zarówno na terenie ruchów politycznych, jak i organizacji gospodarczych, zawodowych, kulturalnych, samorządowych. Najsilniej poczucie własnej siły i wartości wystąpiło na terenach skupiających młodzież, pozbawioną kompleksu niższości, właściwego niektórym środowiskom

starszym, i nie obciążoną szeregiem rzeczywistych czy urojonych grzechów przeszłości. To przebudzenie się społeczeństwa było tak wyraźne, że zmusiło panujący reżim do próby dostosowania metod do zmienionej sytuacji. Taką, oczywiście nieudaną bo nieszczerą, próbą był Ozon. Pozatem szereg wystąpień i wypowiedzi marsz. Śmigłego Rydza, czy wicepremiera Kwiatkowskiego, również należy oceniać jako próby skanalizowania w pożądanym dla nich kierunku narastającego w społeczeństwie samopoczucia własnej wartości i znaczenia. Bezmyślne akcesy ochotniczych straży ogniowych i związków hodowców drobiu zgłaszane do Ozonu, oraz depesze hołdownicze i obywatelstwa honorowe nadsyłane na polecenie starostów z całego kraju do Warszawy, miały na celu skierowanie na ślepy tor budzących się w społeczeństwie ambicji i poczucia odpowiedzialności za losy państwa. Mieliśmy jednak dostateczną ilość dowodów na to, że te naiwne i śmieszne chwytły grały conajwyżej rolę drobnej dywersji, ale nie mogły zahamować procesu, prowadzącego nieuchronnie do przywrócenia społeczeństwu polskiemu właściwej i decydującej roli we własnym państwie.

W tym stanie rzeczy społeczeństwo nasze weszło do wojny i od pierwszego jej dnia, w hierarchii elementów składających się na pojęcie państwa, wysunęło się tak zdecydowanie na czoło walki, na wyżyny ofiarności i szczyty odpowiedzialności, że wszystko inne wraz z rządem, instytucjami państwowymi i formalnymi tytułami, stało się raczej dodatkiem tylko, wprawdzie niezbędnym, ale nie decydującym i nie wyręczającym społeczeństwa w jego walce na najważniejszych pozycjach. Wszak nawet w armii decydującym elementem, w czasie wojny i w walce, są masy tych obywateli, którzy do jej wybuchu stanowili część zwyczajnego społeczeństwa, nie wyróżnionego przywilejem stałego noszenia munduru i nie związanego z aparatem państwowym stałą służbą wojskową.

A więc wszystko to, co wykazuje kraj i żołnierz polski, winno być zaliczone na rzecz społeczeństwa.

Takie jest społeczeństwo polskie i taki jego dorobek. A jak wyglądają rządy, które tym społeczeństwem rządziły lub rządzą, i jak zapisały się kadry administracji państwowej, które kierowały i gospodarowały lub kierują i gospodarują wysiłkiem i pracą społeczeństwa polskiego?

Nie zachodzi chyba konieczność szczegółowego przypomnienia tego wszystkiego z ostatniego dziesięciolecia rzeczywistości polskiej, co w sumie złożyło się na ponury obraz rządów, stojących o wiele poniżej poziomu i wartości społeczeństwa. W zasadzie słuszną jest teza, że taki jest rząd, jakiego jest warte dane społeczeństwo. W praktyce życia narodów rzeczywistość wykazuje odchylenia od tej tezy pod wpływem dwu czynników: jednym z nich jest czas, drugim — wpływy obce. Wyłonienie przez społeczeństwo i ustalenie rządów będących odpowiednikiem poziomu i wartości danego społeczeństwa, wymaga pewnego okresu czasu, który w niesprzyjających warunkach zewnętrznych lub wewnętrznych może trwać nieraz dość długo. Częstszym i zazwyczaj ważniejszym powodem dysproporcji pomiędzy społeczeństwem i rządem jest czynnik drugi. Jest niesłuchanie trudno, bez istotnej niezależności politycznej, gospodarczej i kulturalnej od czynników obcych, by naturalny proces, prowadzący ku równowadze i współmierności między społeczeństwem a rządem, przebiegał normalnie i w pełni doprowadzał do celu. U nas, w Polsce, niewątpliwie obydwie wymienione czynniki grały na tyle silnie, że pomiędzy rządem i aparatem państwowym z jednej strony, a społeczeństwem z drugiej zrodziła się niemal przepaść. Dość porównać wyniki egzaminu z września 1939 r. Na tle tego jak wypadł on dla społeczeństwa, jaskrawo zarysowała się cała nicość rządu i bezmyślność, oraz nieudolność aparatu państwowego.

Naturalnym więc jest, że kryzys zaufania w społeczeństwie do rządów i aparatu państwowego narastający już od szeregu lat, wszedł poprzez falę oburzenia i rozżalenia w ostre i trwałe stadium. Społeczeństwo podzieliło się na tych, którzy są zdecydowani kategorycznie przeciwstawić się wszystkiemu, co miałoby kontynuować, chociażby w innej postaci, ale podobne do dotychczasowych, tendencje i metody, oraz na tych, którzy pesymistycznie twierdzą, że i tak nawet w innym składzie osobowym wszystkim w zasadzie pozostanie bez większych zmian, i bez względu na ustrój, hasła i piękne deklaracje, nadal będziemy świadkami rządów i zakulisowej gry różnych klik. Wszyscy zgodnie są przeniknięci daleko idącym sceptycyzmem i ostrożnością w stosunku do tych, którzy brali lub biorą odpowiedzialność za prowadzenie spraw państwowych. Każda czynność, wystąpienie, zachowanie się osób reprezentujących instytucje, resorty, i funkcje państwowe poddawane są bacznej obserwacji, kontroli i komentarzom.

Trwający kryzys zaufania do rządów kryje w sobie poważne niebezpieczeństwa na przyszłość. Trzeba zdać sobie sprawę, że jest to kryzys o bardzo szerokim zasięgu; w jego obrębie mieści się, niestety, **zasadnicze** podważenie zaufania do państwa i autorytetu jego instytucji i aparatu. Kto był w kraju pod okupacją, doświadczył wielokrotnie dowodów na potwierdzenie tej smutnej prawdy. Niewątpliwie wszyscy wiemy doskonale, że to jest najzupełniej zrozumiałe i w pełni może być wytłomaczone na tle polskiej rzeczywistości przedwrześniowej i wrześniowej. Nie umniejsza to jednak niebezpieczeństw i trudności, jakie już płyną i mogą jeszcze wypłynąć z tego kryzysu zaufania. Jest rzeczą naprawdę konieczną i pilną zastanowienie się nad drogami i środkami prowadzącymi do zażegnania trwającego w tej dziedzinie kryzysu. Nie możemy i nie wolno nam, którzy mamy swobodę słowa i działania, dopuścić, by start nowego, niepodległego bytu Rzeczypospolitej po zakończonej wojnie rozpoczął się pod znakiem rozpowszechnionego w społeczeństwie braku zaufania niemal do wszystkiego, co reprezentuje organizację i autorytet państwa a przede wszystkim do przedstawicieli władzy i administracji. Doświadczenie nas uczy, że praktyka obcej, wrogiej administracji wywiera ujemny, i trwalszy niż sam okres niewoli, wpływ na stosunek społeczeństwa do wszystkiego, co reprezentuje najmiejscu państwo i władzę. Ten stan rzeczy obecnie w kraju jest pożądanym i gra poważną rolę w walce z okupantem. Tym niemniej z chwilą powrotu na naszych ziemiach do własnej państwowości czynnik ujemnego nastawienia społeczeństwa do władzy tylko powierzchownie zaniknie odrazu; w głębszych pokładach psychologicznych będzie on tkwić podświadomie jeszcze przez pewien okres czasu i będzie oddziaływać szkodliwie dla interesu narodowego. W naszej polskiej rzeczywistości będzie się on sumować z tym wszystkim, co złożyło się na powstanie kryzysu zaufania do rządów jeszcze przed wojną i przed okupacją.

Zagadnienie jest więc o tyle skomplikowane i trudne, że czynnik czasu w warunkach, w jakich kraj obecnie żyje, pracuje na rzecz pogłębienia tak niebezpiecznego na przyszłość kryzysu. Musimy więc uczynić wszystko, by przynajmniej na innych odcinkach, na których decydujemy, lub mamy wpływ, wykorzystać **ten sam czas** na odbudowanie zaufania do własnego państwa i wszystkiego, co je reprezentuje. Jednakże tu wypada odrazu zrobić jedno zasadnicze zastrzeżenie. Poczynania w kierunku odbudowy zaufania społeczeństwa do polskich rządów w żadnym razie nie mogą pójść po linii, którą z takim opłakanym rezultatem stosował sanacyjny reżim i stosuje obecnie. Metoda ta polega na wmawianiu w społeczeństwo, że każdy urząd, tytuł czy stanowisko automatycznie napelnia piastujące je osoby wszystkimi moralnymi, politycznymi i zawodowymi cnotami i zaletami,

oraz otacza je nimbem autorytetu i przywilejem nietykalności w zakresie kontroli i krytyki. Stąd bowiem tylko jeden krok do bezmyślnej uległości i służalczego uwielbienia. Widzieliśmy jednak już, jak łatwo załamuje się wiara i zaufanie oparte na takim mechanicznym windowaniu autorytetów. Nie budujemy więc poraż drugi z tworzywa tak lichego, kruchego i nie trwałego, zaufania, na którym będą przecież musiały oprzeć się rządy i administracja. Trzeba raz na zawsze odrzucić precz fałszywą zasadę, jakoby urząd mógł nadać splendor chociażby nawet niegodnej osobie i zrozumieć, że wręcz odwrotnie, niegodna osoba zawsze ujmie i obciąży autorytet urzędu, który piastuje. W istocie źle więc zasługują się sprawie wzmocnienia autorytetu rządu ci, którzy ten autorytet chcą bronić przez wychwalanie z reguły każdej osoby, zajmującej wysoki urząd czy stanowisko, i przez chronienie jej przed krytyką i kontrolą.

Klucze do wrót prowadzących ku odbudowie zaufania do rządów i narzędzia, którymi ta odbudowa może być dokonana, znajdują się w ręku czynników kierowniczych, które wyłaniają i powołują rząd, wpływają w ten czy inny sposób na jego postępowanie, decydują o doborze i obsadzie całego aparatu państwowego i o funkcjonowaniu i działaniu tego aparatu.

Trzeba przyznać, że kryzys zaufania do rządów w naszym społeczeństwie od pierwszej chwili stwarzał dla powstałego na emigracji rządu specjalnie trudne warunki. Warunki te narzucały i narzucają konieczność wyjątkowej ostrożności i oględności w postępowaniu czynników rządowych w zakresie wszystkiego, co może mieć wpływ na stopień zaufania społeczeństwa. W pierwszym rzędzie narzuca się tu wszystko, co dotyczy godności i honoru narodowego, szacunku, zaufania, i wiary w społeczeństwo, stosunku do grosza publicznego, w pełni służebnej postawy wobec Sprawy, wyrzeczenia się osobistego interesu, ambicji czy kariery. W dalszej kolejności gra rolę cały szereg czynników drugorzędnych, a jednak charakteryzujących osoby, środowiska i system. Każdy uczynek, przemówienie, gest, świadczące o duchowej i moralnej postawie dygnitarza ma swoje znaczenie i swój dodatni lub

ujemny wpływ na kształtowanie się opinii, a co za tem idzie, zaufania społeczeństwa. W tych specjalnych warunkach naprawdę nawet względnie drobne przejawy niedopasowania wysoko postawionych osób do nakazów chwili i wielkości zadań rażą jak zgrzyt żelaza po szkle, jak błaznowanie w kościele. Byłoby tragicznym nieporozumieniem, gdyby ktoś teraz jeszcze wyobrażał sobie, że autorytet swego wysokiego urzędu podtrzyma i podźwignie lśniąca limuzyną, grzecznościowym zagranicznym orderem czy tytułem, patosem banalnego, okolicznościowego przemówienia, pochwalnym artykułem płatnego urzędnika, otaczaniem się lizusami i pochlebcami, bezwzględnym zwalczaniem każdego, kto śmie podnieść słowo zastrzeżenia. Dziś, szczególnie dziś, czas jest tylko na proste słowa, proste życie i proste drogi. — Napewno autorytet urzędu i autorytet osobisty zyskały wiele już nawet na skutek takich postanowień, jak znaczne obniżenie wysokiej gaży na rzecz pomocy dla kraju czy wysiedleńców, zamiana limuzyny na autobus i wyrzeczenie się wszelkiej osobistej reklamy. A przedewszystkiem ci, którzy zostali dopuszczeni do zaszczytu ponoszenia odpowiedzialności w tych czasach za formalne reprezentowanie woli i interesów narodu polskiego, winni pamiętać, że nie społeczeństwo ma zabiegać o ich zaufanie, **lecz właśnie oni w trudzie i mozołach muszą zarobić na zaufanie społeczeństwa i okazać się godnymi tego zaufania.** Nie czas dzisiaj na pouczanie społeczeństwa, czy udzielanie mu banalnych pochwał. Społeczeństwu pochwały te niepotrzebne i trudno zresztą wyobrazić dziś sobie w naszych stosunkach emigracyjnych takie autorytety, których pochwały byłyby dla społeczeństwa w kraju jakimś specjalnym zaszczytem. Przeciwnie, trzeba, by zachwiane autorytety cały swój wysiłek, poza pracą dla sprawy polskiej, obróciły na odbudowę zaufania do siebie, by pracowały rzetelnie na uniknięcie nagany ze strony społeczeństwa i uzyskanie pochwały. W pewnym stopniu bowiem role są odwrócone w stosunku do tego, co było nam narzucane w przedwrześniowej Polsce. O tym nie wolno zapominać. Kraj to rozumie, czeka i patrzy. A jutro wyda swój sąd.

Mieczysław Harusewicz

EMIGRACJA NIEMIECKA

BYŁOBY naiwnym uproszczeniem twierdzić, że wszyscy Niemcy, przebywający na emigracji poza Rzeszą, należą to tak zwanej *piątej kolumny*. Termin *piątej kolumny* daje nazwę pojęciu tak ściśle określönemu, że go szerzej analizować nie potrzeba. Jest to grupa ludzi, pozostających w bezpośrednim związku z hitlerowską Rzeszą, poddana jednolitej instrukcji: z Berlina, jako centrali politycznej, narodowego-socjalizmu, czy ze Stuttgartu, jako centrali ruchu Niemców zagranicznych, czy też z Hamburga, jako jednego z ośrodków dyspozycyjnych niemieckiego szpiegostwa. Ale są to w każdym razie ludzie związani z obecnym reżimem w Niemczech. Do nich w Polsce należeli senator (!) Hasbach, senator (!) Wiesner i pocziwie wyglądający dr. Kohnert, szefowie pozornie z sobą skłóconych grup mniejszości niemieckiej a od września 1939 mianowani, jeżeli nie "Oberführer'ami," to co najmniej "Hauptsturmführer'ami" w S.S. Tym typem ludzi i tego rodzaju, jak ich, działalnością starannie zajmują się w Wielkiej Brytanii czynniki bezpieczeństwa. W Ameryce policja zbliża się do nich już także nie w białych rękawiczkach.

Na świecie, po tej stronie frontu spotykamy poza tym liczne szeregi Niemców, których działalności czynniki bezpieczeństwa nie przeszkadzają a którym — na odwrót — pomagają często

czynniki polityczne. Są to emigranci polityczni z Trzeciej Rzeszy w sensie właściwym. Musieli oni Niemcy opuścić, lub jest zrozumiałym, że mogli czuć się w granicach państwa narodowo — socjalistycznego wyraźnie nieswojo. Cechuje ich patriotyzm i przywiązanie do swego kraju. Trudno tego nie uszanować. Szacunek dla cudzych uczuć nie wyklucza jednak trzeźwego zastanowienia się, w czym ich nastawienie jest zgodne z interesami naszego narodu i państw, znajdujących się dziś w walce z Niemcami, a w czym drogi nasze się rozchodzą. Jesteśmy z nimi zgodni w walce z narodowym — socjalizmem i zespoleni w wojnie przeciw hitlerowskiej "Neuordnung," włóczzonej na skronie umęczonych narodów europejskich, jak cierniowa korona, która krwawi ciało, ale myśli zabić nie może. Bardzo jednak nieliczna grupa wśród nich zdobywa się na męską odwagę i rzetelny rachunek sumienia, aby szukać genezy hitlerowskiego zła w całej niemieckiej przeszłości, a nie tylko w mechanicznym zdarzeniu 30 stycznia 1933 roku. Walter Loeb i towarzysze, socjaliści dziś skupieni dokoła zespołu *Fight for Freedom*, autorzy kilku ciekawych broszur, którzy publicznie protestowali przeciw pominięciu w rezolucji "Union deutscher Sozialistischer Organisationen in Grossbritannien" postulatu — militarnego rozbrojenia Niemiec. Mało

przekonywujący Emil Ludwig. Bardzo teoretyczny socjolog, były komunista Franz Borkenau. To bodaj — z nazwisk, które ważą — wszystko.

Wielka reszta niemieckiej emigracji, jakby zapomniała, że już w 1915 roku opinii niemieckiej przedłożono książeczkę Roberta Jennescha o znamienym tytule — *“Weshalb die Deutschen im Auslande unbeliebt sind.”* Niemcy byli i są nie tylko nie lubiani, ale Niemcy byli i są niebezpieczni. Wielka reszta robi wszystko, aby świat przekonywać, że jest odwrotnie. I dlatego nie tylko że nasze drogi, po tej tutaj stronie frontu, rozchodzą się z ich dążeniami, ale w tych przypadkowych towarzyszach walki z narodowym socjalizmem mamy potencjonalnych przeciwników. Bo dla nas walka z narodowym socjalizmem jest tylko fragmentem starcia z Niemcami i z imperialistycznymi dążeniami narodu niemieckiego. Dla nich pokonanie narodowego socjalizmu łączy się z celem — usunięciem wrogości świata do Niemiec, aby te Niemcy mogły być znowu silne i znowu, w innej formie, niebezpieczne. Im chodzi o skuteczne przemalowanie szyldu, nam o skuteczną zmianę treści.

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że większość niemieckiej inteligencji żydowskiej, która po 1933 roku szukała schronienia w Palestynie przede wszystkim, głośno manifestuje swą niemieckość. Syjonistyczne kierunki ideowe mają z nią duże kłopoty. Dla ludzi tych nie istnieje zagadnienie rozbudowy narodowego życia żydowskiego, dążeniem ich jest powrót do nowych, innych Niemiec, ale Niemiec wcale nie osłabionych. Dajemy przykład skrajny, ale bardzo typowy, dla petryfikacji pewnych politycznych poglądów. Nawet Emil Ludwig, dopuszczający gospodarcze i militarne rozbicie Niemiec, żądający reedukacji społeczeństwa niemieckiego i — na pewien okres czasu — rządów alianckich w Niemczech, opowiada się energicznie przeciw umniejszeniu terytorium Rzeszy.

Wszystkie poważne niemieckie, i austriackie grupy polityczne raczej stoją na stanowisku łączności Austrii i Rzeszy. Pewne odchylenia znajdujemy tam, gdzie jedni z nich w ogóle przemilczają kwestię austriacką, mówiąc tylko o sprawie Niemiec, a inni wysuwają postulat umożliwienia społeczeństwu austriackiemu swobodnego wypowiedzenia się co do przyszłości Austrii, choć nie przekreślają ścisłego powiązania zagadnienia austriackiego z zagadnieniem niemieckim. Do pierwszej grupy trzeba zaliczyć socjalistów niemieckich, do drugiej socjalistów austriackich. Znowu jasny dowód pełnego trwania idei *Grossdeutschland*.

Niemiecka emigracja polityczna jest partyjnie rozbita. Nawet socjaldemokracja niemiecka przeżywa bardzo zasadniczy kryzys organizacyjny. Siła jednak i skuteczność jej oddziaływania na opinię aliancką polega na niesłychanym instynkcie samozachowawczym, jaki zbiorowość niemiecka na emigracji wykazuje, oraz na kapitale złudzeń, jaki w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych jest nagromadzony od dziesiątek lat może nie tyle działaniem polityki, ile kultury niemieckiej. Poza tym mało docenia się znaczenie działalności emigrantów austriackich, jako tych, którzy konsekwentną propagandą Austrii, pierwszej ofiary narodowo-socjalistycznej żarłoczności terytorialnej, torują drogę mniemaniu o istnieniu dobrych Niemiec. Bo skoro są “dobrzy” Niemcy nad Dunajem, dlaczego nie miałoby ich być i gdzie indziej?

Wobec rozbitcia partyjnego Niemiec czołową rolę w życiu emigracji niemieckiej grają jednostki. W Stanach Zjednoczonych Tomasz Mann, który od 1939 roku, od chwili wydania broszury *“Vom zukunfftigen Sieg der Demokratie,”* pozostaje

wierny głoszonemu hasłu, że: *“fairness* wobec Niemiec będzie znowu na czasie po upadku Hitlera.” Dr. Heinrich Brüning, były premier, wyklada dziś na uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych . . . sztukę dyplomacji, przy czym stale za przykład wszystkich błędów stawia Traktat Wersalski. Ma on za sobą poparcie Hermanna Rauschninga, który w przedostatniej swej książce *“Revolution des Konservatismus,”* przedstawił Brüninga jako męża przyszłości Niemiec i jako najważniejszego Niemca na emigracji. Konserwatysta Rauschning zresztą bardzo twardo wypowiada się przeciw tworzeniu jakiegokolwiek ruchu *Free German*, gdyż uważa, że w chwili klęski Hitlera ujawni się ogromny zespół sił i ludzi, walczących dziś wewnątrz Niemiec z hitleryzmem. Centrowiec Brüning ma kontakty z Watykanem. Jest wraz z Rauschningiem zwalczany przez byłego ministra pruskiego Alberta Grzesińskiego, z którym współdziałał były minister spraw wewnętrznych Rzeszy, także socjaldemokrata Wilhelm Sollman. Ostatni artykuł Sollmanna w amerykańskich *“World Affairs”* konkludował:

“Niemcy muszą znaleźć swe miejsce w Europie, które da im gospodarczą możliwość rozwoju, jako jednemu z najbardziej twórczych narodów na świecie. . . We wszystkich trudnych chwilach narodziła się jedna okazywała się w Niemczech najsilniejszą polityczną siłą.”

Byłoby dowodem wielkiej nieprzezorności, gdybyśmy znaczenie tych wszystkich ludzi i potworzonych dokoła nich grup deprecjonowali nazwą “piątej kolumny” do roli obiektu, którym winny zajmować się tylko — władze bezpieczeństwa. Nawet gdybyśmy starali się ułatwić sobie w ten sposób walkę, to i tak by to nam się nie powiodło. Dowodem rozumu politycznego jest docenianie wszystkich politycznych niebezpieczeństw. Działalność emigracji niemieckiej jest jednym z największych. Nie potrzeba dziś — jeżeli chodzi o Polaków — tracić czasu na odpięcie bzdurnych twierdzeń propagandy hitlerowskiej. Narodowy socjalizm i *“Neuordnung”* Hitlera nie są dziś dla nas politycznym niebezpieczeństwem, są tylko groźbą w znaczeniu ściśle fizycznym. Politycznie niebezpieczne jest natomiast to, co przyjdzie po czy na miejsce Hitlera. Związki tej przyszłości można obserwować w poszczególnych grupach emigracji niemieckiej. Nie wydaje się możliwym, aby między nimi a tym, co nurtuje gdzieś, podskórnie w Niemczech, istniały ściśle więzy — teraz, w tej chwili. Jakiś kontakt jednak niewątpliwie istnieje. Starczy go na tyle, aby grupy i ludzie emigracji niemieckiej były już przygotowane do natychmiastowego, w odpowiedniej chwili, dostosowania się do nowego stanu rzeczy w Niemczech. Mann, Rauschning, Brüning, Grzesiński i inni, już dziś są ambasadorami nowej Rzeszy. Róbmy wszystko, aby ich argumenty nie ważyły teraz i w przyszłości więcej, niż tragizm naszych ciężkich doświadczeń. Aby oni lepiej wygrywali atut swego osobistego bezpieczeństwa w Anglii oraz Stanach Zjednoczonych, niż my, atuty skrwawienia całego narodu, atuty poświęceń naszych żołnierzy, atuty sympatii do nas jako sprzymierzeńców — z prawdziwego zdarzenia.

I dlatego musimy być tam, gdzie oni już zdobyli sobie wpływy — w politycznej, konstrukttywnej dyskusji na temat przyszłości świata, dyskusji prowadzonej w języku angielskim, na łamach pism brytyjskich oraz amerykańskich, rządowych a wreszcie — co ważniejsze — w działaniach i rozmowach między rządowych. Poprostu, aby obok przymiotników: biedni, bohaterscy, cierpiący Polacy, zaczęto nam wreszcie stawiać predykat: politycznie mądrzy.

Jerzy Pietrkiewicz

Wiersze ś.p. Stefana Borsukiewicza*

MAŁA, skromna książeczka Stefana Borsukiewicza p.t. "Kontrasty" (London 1941. Printed by F. Mildner) może nasunąć sporo uwag niewiążących się ściśle z recenzją, a przywołujących do głosu sprawy główne poezji, co — rzecz jasna — jest nielada komplementem dla debiutanta. Borsukiewicz miał cywilną odwagę ogłosić zbiór wierszy awangardowych, pisanych językiem metafor, niewdzięczających się do czytelnika łezkami aktualnych, patriotycznych przeżyć; miał co więcej upór odkrywcy i fanatyka w wyszukiwaniu piękności krajobrazowych na przestrzeni przeszło 40 stron, naprzekór górnej i chmurnej muzyki naszych londyńsko-brazylijsko-nowojorskich płaczków oficjalnych. U Borsukiewicza nie ma alertów, shelterów i świstu bomb — jest zato coś autentycznie polskiego: kolor i dźwięk, obraz i ruch, linia i plama — od Huculszczyny do Bałtyku — wzorzysty zakłęty dywan poezji, poruszany siłą metafor.

Na końcu zbiorku kilka wierszy o wojnie, bardzo nie-dopasowanych do początkowych krajobrazowych liryków (pamiętajmy jednak tytuł: Kontrasty), ale te właśnie militarne strofy stanowią chwałę książeczki. Dlaczego brzmią one tak inaczej od zabeczanej i roztrzęsionej liryki alertów — odpowiedź jest prosta: pisał je młody człowiek, który walczył pod gen. Władem, który widział we wrześniu Kutno, Łowicz i Warszawę, człowiek o opanowanych nerwach i wrodzonej niechęci do gestykulującego patosu:

"Teżali bataliony.

W spalonej rzece mgły spalone, pogięte krzyże, bagno święte.
Pachniały mózgi. Łąd nie stanął, jeno brzask targał czas
w agonii —

Łuna nad świtem rudych koni rozpięła chrystusowe rano.

Czy dno jest klęską czy zwycięstwem.

Wyrąbali nam wrota w oczach i topole —

plutonom twardej łaski, pułkom na sennych biodrach.

Drwał mocnej wiary w kartofliksu poległ

jak w presbiterium.

Płoną lampki z zemstą przed ołtarzami —

za naszą i waszą prawdę.

Czternasta Dywizjo Piechoty — módl się na nami."

Jest to fragment, który w literaturze zostanie. Poezja taka ma godność autentycznego przeżycia i nie może być ułatwiona czy przełożona na scenkę kabaretową. Londyn 1942 pozuje się na cierpiętnictwo wieszce. Autorzy tang klepią po ramieniu Mochnackiego, autorzy deklaracji pacyfistycznych zamykają się w marszach bojowych jak w żywych torpedach; jesteśmy świadkami zdumiewających przemian duchowych. Tyle tej Polski u dawnych paneuropejczyków! Poczciwemu Borsukiewiczowi musi się pewnie wydawać, że to nie on był pod Łowiczem, ale bard tangowy.

Poza tym Borsukiewicz to wcale nie pseudonim. Młody debiutant pochodzi z Poznańskiego — wszystko naopak. Czy też taki wogóle może mieć prawo wstępu do literatury? Za dużo surowca, za dużo soczystego autentyzmu — i jak na złość z Poznańskiego. Tang nie pisał, do kabaretów na edukację nie chodził, bolszewików na polski nie tłumaczył, z republikanami niemieckimi na zjazdy intelektualne nie jeździł, praw człowieka nie zaprzysięgał; wogóle zwyczajny Borsukiewicz, co do którego tajemnic żadnych nie ma. Łatwo sprawdzić co robił i jak żył. Postępował wedle praw powszednich istoty Bożej, która nie krzyczy stojąc przed lustrem olśniewającej rewelacji: "jestem człowiekiem." Życie jego nie było i nie będzie pseudonimem. Posłuchajcie:

"Dnie były-kwitające jablonie, a nocą świerszcze kosily suchą
trawę.

W strumieniu brodził księżyc — czapla, aż do białych okien."

Gdzieindziej:

"Zemdlalo niebo na cerkwi spłowiąłem błękitem.
Zdziwione naociecz drzwi, że idę . . ."

Albo taki dojrzały, mądry opis:

"Przycumowane srebrnymi do nieba linami
gwiazdy północ napięły.

Płyniemy nawietrzną w pełnię Wysp Zielonych.

Okręt pojmuje głębię
ciąglą głuchym łękiem.

Potem

słońce jakby młotem złotym

w stal bije oceanu,

aż się horyzont otwiera i rano."

Czytelnicy, wychowani w kabaretowym dwudziestolecu wierszopisarstwa polskiego, oceniali trud nowoczesnej poezji słowem krótkim: niezrozumiałość. Słowo to, zrodzone z nieuwagi i lenistwa, z nieladu duchowego i werbalizmu, miało przecież walor propagandowy dla grupy przeciwnej, której o idee formalne nie chodziło, której "europejskość" była bluffem (Dziś w Anglii widać to znakomicie). Łatwizna na łatwiznie, unia snobów ze spryciarzami, liga ułatwionych praw człowieka nieskomplikowanego. Świat dzieli się na faszystów i komunistów; literaci na utalentowanych i grafo-manów; książki na przynoszące forsy i robiące klapę. Chłopi powinni siedzieć na wsi i orać ziemię, przyspiewując sobie czasem na narodową nutę pod słowa Hemara lub Tuwima — oto ich całe prawo do kultury.

W Londynie mamy już Nową Polską uchwaloną, ustaloną i ułatwioną. Wiemy doskonale, że będzie "ludowa i robotnicza." Borsukiewicz słucha tego, czyta o tym — i napewno mówi sobie pocziwie: ach, ile tych chłopów w tej naszej literaturze, ile tych robociarzy! Co tam ja . . . Gdzie mi tam do nich!

* Już po wydrukowaniu tego artykułu, Redakcja "Myśli Polskiej" dowiedziała się, że Stefan Borsukiewicz zginął na posterunku żołnierskim (był instruktorem spadochronowym) w dniu 21 sierpnia 1942. Cześć Jego pamięci. Śmierć wyrwa z naszych szeregów najdzielniejszych i rokujących najwięcej nadziei.

I Borsukiewicz pisze sobie jakgdyby nigdy nic, jakby Polska była nadal "faszystowska" i nie paneuropejska. Posłuchajcie tej młodzieńczej nieświadomości:

"Hucułki przybrały niedzielą chustkami.
Od wodospadu szklany łoskot rozbijanych dzbanów
Tędy pod kamień Dobosza płynie legenda
pachnący hymn."

Wojna wrześniowa była zbrodnią popełnioną na kulturze polskiej. Poprzecinała młode pędy odrodzenia, a oszczędziła stare pudła muzealnego snobizmu, wyrzucając je na mielizny emigracyjnego patosu. Znow pieje wieszczu kogut. 50-latk i lysiejące 40-latki zwolują wiec uroczysty, znow sporządzają deklaracje, znow odkrywają źródła i wskazują szlaki. Nie chcą zrozumieć, że są makabrycznymi klepsydrami przeszłości, że tu właśnie na tym podwórku groteskowym emigracji dogorywują z dnia na dzień, że wypalają się w kłótniach i hysterii, że jeśli nawet zdołają wrócić, zastaną wielki front młodych, którzy proces odrodzenia będą kontynuować, że świeże nazwiska ludzi z "Prosto z mostu," "Kultury," "Kroniki," "Okolicy Poetów," "Tęczy," "Linii," z wielu mało znanych pism regionalnych pojawią się znowu. Borsukiewicz napewno znajdzie wśród nich przyjaciół.

W rozsądnym i naogół słusznym artykule p. St. Kowalskiego (Nr 25-6 "M.P.") znalazłem takie zdanie:

"Literatura polska ostatniego dwudziestolecia nie miała stygmatu wielkości, choć miała liczne, wybitne talenty, doskonałych techników literackich i wiele dobrych książek."

Nie zgadzam się z nim w zupełności, gdy chodzi o poezję dzisiejszych 50-latków. Wybitne talenty? Doskonali technicy literaccy? Przecież to była epigońska fabryczka, reprodukcja francuskie i rosyjskie wzory w oklepanych formach zwrotki. Prof. St. Stroński niech łaskawie zcenzuruje (sic! Przyp. red. MP) jeśli się omylę; zdaję mi się, że poezja prowansalska stworzyła blisko 2000 różnych form metrycznych. W 8 wieków później, kiedy skamandryci zabrali się do upraszczania i ułatwiania, powpychali swoje liryczne mieszanki w kilka najbanalniejszych zwrotek — dziś czytać te tomiki niesposób. Wkółko to samo. Ubóstwo rymu i rytmu. Metafora wyświechtana fel.etonowego typu. Pointe' y jak rozwiązywanie dzieciennych rebusów; te same tricki na końcu utworu — jarmark tandety i głupoty. Poczytajcie sobie w "Nowej Polsce" ponure wierszydło o profesorach, przegrajcie na katarynce te 24-stronicowe zbiorki, pełne lkań, wrzasków i kalamburów.

A potem weźcie pierwszą lepszą antologię poetów Młodej Polski, prawdziwych Polaków i europejczyków, tłumaczących dobre wiersze angielskie, niemieckie, francuskie, włoskie, rosyjskie, hiszpańskie; umiejących zawsze być sobą, a nigdy nie nadymających się międzynarodowym snobizmem. Porównajcie! Co nam Skamander pokazał z zagranicy? Co nam przyswoił? Czy szedł z tempem czasu?

Epigoni faworyzują zawsze epigonów.

A potem przejrzyjcie którąś angielską antologię; nowoczesnych wierszy, pójďte na przedstawienie T.S. Eliota "Murder in the Cathedral." Wnioski będą oczywiste.

20 lat "wiadomościowej" literatury to epigonstwo i ubóstwo, to bluff, kłótnie personalne i reklamiarstwo. Cofnęliśmy się! Ale nawet nie w tradycję polską, bo to co zostało w fabryce epigońskiej wyprodukowane, leżało poza naszą rzeczywistością historyczną i poza rzeczywistością współczesności także.

Wyznawcy świadomego macierzyństwa wyśmiewali "Awangardę," stając się przez to poprostu reakcją (co za groteska!) polskiej literatury. Kiedy wychodzili z tłumaczeniami zagra-nicę, zdobywali sobie politowanie, śmiech, wzruszenie ramion, zażenowanie. Rozmawiałem niedawno z młodym poetą angielskim, który czytał antologię współczesnej poezji polskiej w języku włoskim.

— Wy tkwicie jeszcze w 18 wieku — zawołał do mnie.

Niech wydawcy "Pologne Litteraire" nie przyjmują tego jako komplementu. W 18 wieku mieliśmy także Bakę.

Takich opinii możnaby zebrać więcej. Mochnacki istotnie przeraziłby się, gdyby zobaczył wiersze i profile (duchowe) poetów drugiej emigracji. Słowacki, wielbiciel i doskonały znawca współczesnych sobie prądów literackich, zламаłby pióro.

Po raz drugi na tym miejscu* cytujemy znamienne zdanie M. Choromańskiego (nikt mnie chyba nie posądzi o stronniczość) z nr. 510 "Wiadomości literackich": . . . "boję się powiedzieć, iż podejrzewam naszą literaturę o nieistnienie. Mówię o faktach niezmiernie smutnych. Gdy przypominam sobie jak w r. 1928 tłumaczyłem współczesnych poetów polskich na język rosyjski, miałem przykre wrażenie że mnie nabrano i że poprostu tłumaczyłem z powrotem Siewierianina, Achmatową, Sołoguba, Majakowskiego, Jesienina . . ."

Dobroduszni czytelnicy, którzy tolerujecie kabaretową poezję polską, oszukiwano was. Jesteście oszukiwani stale.

Tak. Ale cóż temu winien młody żołnierz Stefan Borsukiewicz. Wydał książeczkę, w której są wprawdzie zgrzyty, wysoki, typowe dla każdego debiutu chropowatości językowe, ale pomimo nawet najsurowszej oceny — "Kontrasty" zawierają w sobie pierwotną siłę poezji, która ostanie się czasowi, bo walczy o własny, samorodny styl.

Prawdziwy wiersz jest wielką metaforą pomysłu, a składa się z drobnych metafor, które stopniami hierarchicznego piękna do tej korony lirycznej dochodzą, zrastając się z sobą. Rytm biegnie liniami krętymi; rozwijają się i zwijają — rymy całują się cicho w przelocie asonansów — fale różnych długości suną po pokładzie słów.

Można tu snuć porównania z budową muzyki, z rolą płamy barwnej w nowoczesnym malarstwie, z tajemnymi wizjami świata fizyki w książkach Eddingtona i Jeansa, z filmami Disney'a . . .

Odkrycia awangardowej poezji czekają na sumiennych krytyków. Ktoś, kto kiedyś będzie badał rewolucyjne ruchy poetyckie pierwszej połowy XX wieku, nazwie je może neoromantyzmem. Anglicy znajdą pewnie ogniwa łączące tych pozornych rewolucjonistów z metaforycznym językiem Szekspira, z bujną rytmiką Surrey'a i Wyatt'a, z niezwykłą wyobraźnią metafizycznych poetów XVII wieku, nawiąza może nawet do aliteracyjnej poezji wieków średnich.

W Polsce Słowacki zostanie nareszcie zrozumiany.

Stefanie Borsukiewiczu, nie przejmuj się, jeśli ci powiedzą że piszesz "niezrozumiale." Twórz jak ci sumienie każe. Posiadasz przecież skarby bezcenne: młodość, polskość, regionalizm. Poezja prowansalska, z której się wszyscy wywodzimy, — od Dantego i Chaucera do Valery' ego i Eliota — była w tym samym była stopniu uniwersalna co i regionalna. Twój regionalizm mówi żeś Europejczykiem naprawdę.

Jerzy Pietrkiewicz

* Artykuł w N-rze 4 "Myśli Polskiej" z 15 maja 1942 p.t. "Sekciarstwo przeciw dogmatowi".

HORYZONT WOJENNY

WYPADKI wojenne i polityczne ostatnich tygodni nie nasuwają rozważań pesymistycznych. Można nawet powiedzieć, że widoczne są oznaki stałego polepszania się perspektyw wojny po naszej stronie.

Widoczne jest co raz bardziej, że dwa główne mocarstwa Osi, Niemcy i Japonia, nie potrafiły dotąd doprowadzić do jednoplanowości w swoich działaniach. Jak dotąd, Japonia prowadzi swoją własną, japońską, wojnę, co bynajmniej nie było nieoczekiwane. Prawdopodobnie kierownictwo wojenne japońskie rozumuje, że Niemcy i tak trzymają w szachu Rosję, ułatwiając w ten sposób Japonii działania przeciw obu mocarstwom anglosaskim i ich dependencjom na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. Natomiast gdyby Japonia pomogła Niemcom powalić Rosję, nie wiadomo wtedy — z obserwacyjnego punktu japońskiego — czy Niemcy nie odpłaciłyby propozycjami pokojowo-suzennymi pod adresem Anglo-Sasów, połączonymi z planami wspólnego uregulowania spraw azjatyckich. My wiemy, że z tych propozycji pokojowych nic by nie wyszło, ale Japończycy rozumują wedle swoich kategorii.

Do takiej postawy japońskiej przyczynia się oczywiście ofensywa amerykańska w rejonie Wysp Salomona i wypadki ich aż w rejon Wysp Gilberta. Walki tam trwają, angażując przede wszystkim japońską flotę i lotnictwo. Wydaje się, że Japończycy nie mogą prowadzić poważnych działań na wielu kierunkach równocześnie. Zarówno tonaż ich floty jak i stany liczebne lotnictwa musiały zostać znacznie naruszone w walkach dotychczasowych. Może ich kuszą też Indie, oczarowane — tylko częściowo — doktrynami Gandhiego. W każdym razie nie tylko Japończycy nie uderzają na Kraj Przymorski — a zima się zbliża, ostra w tamtych rejonach — ale i przeciw Chińczykom nie występują z działaniami stanowczymi. Ostatnio nawet Chińczycy zaczynają odnosić lokalne sukcesy.

Amerykanie w działaniach na Pacyfiku potwierdzają wysokie mniemanie o wartości bojowej swoich sił zbrojnych. Odnosi się to przede wszystkim do sił wytrenowanych w czasie pokoju. Piechota marynarska (marines) wydaje się być na najwyższym poziomie sprawności bojowej. Wzięcie do niewoli tylko 40 z 700 Japończyków i wybitcie reszty do nogi, w jednym starciu, mówi samo za siebie. Świadczy to zresztą również o męstwie Japończyków.

W każdym razie dotychczasowy brak interwencji japońskiej przeciw Rosji nie jest na rękę Niemcom i pomniejsza ich perspektywy zupełnego wytrącenia Rosji z szeregów walczących. Ma to duże znaczenie dla wiązania sił niemieckich w Rosji.

Jeśli idzie o sytuację niemiecką, nie jest ona wesoła. Nigdzie nie odnieśli Niemcy zwycięstw decydujących. W Rosji idą naprzód w ciężkich walkach, lecz ich powodzenia mogą im nie dać upragnionego rezultatu. Chodzi o to, czy zdołają unieszkodliwić Rosję, nim spadną na nich ciosy skądinąd. Bo sytuacja ogólna zarysowuje się w ten sposób, że dziś już nie pytamy, kiedy i gdzie uderzą Niemcy, jak to czyniliśmy przez trzy lata dotąd, ale kiedy i gdzie Koalicja Narodów Sprzymierzonych uderzy na Niemcy. Oczywiście Niemcy starać się będą zapewne te ciosy uprzędzić. Więc gdyby przekroczyli łańcuch Kaukazu, otwarłyby się przed nimi nowe perspektywy. Zapewne sprawa Kaukazu omawiana była na konferencji w Moskwie, na co wskazuje obecność tam z premierem Churchilllem nie tylko gen. Sir Alan Brooka, ale i gen. Sir Archibalda Wavella.

W Egipcie muszą się śpieszyć obie strony. Brytyjczycy dlatego, bo Rommel jest diabłem blisko Egiptu, Niemcy zaś dlatego, że w Afryce różne niespodzianki są możliwe, szczególnie przy udziale sił amerykańskich morskich, lądowych i powietrznych. Niemcy dyskutują już w swojej prasie, bardzo ogólnie zresztą, możliwości "drugiego frontu" zarówno od strony Dakaru, jak i jakieś niespodzianki na wybrzeżach Morza Śródziemnego. Usilne podtrzymywanie Malty konwojami brytyjskimi przy ryzyku dużych strat oraz wkroczenie do wojny Brazylii powinny obawy niemieckie pomnożyć.

Niewiadomo tylko, czy Niemcy mogą na to wiele zaradzić. Dziś już np. widoczne jest, że Luftwaffe rozproszona jest tak rozległe od Norwegii po Kretę, iż nie stać jej na zapobiegawcze działania na dużą skalę. Dieppe dało im przedsmak powietrznych na wypadek ofensywy Sprzymierzonych, a sprawność nowego typu amerykańskich "latających fortec" w bitwie z Focke-Wulfami nad Morzem Północnym musiała im dać wiele do myślenia.

Sytuacja w Niemczech samych pogarsza się, nie w najmniejszej mierze na skutek bombardowań brytyjskich. Stąd więc i mianowanie nowego "Ministra Sprawiedliwości" z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami i stąd może nowe rugi Polaków z Ziemi Zachodnich, żeby stworzyć jak najwięcej faktów dokonanych.

Po stronie Sprzymierzonych widać przede wszystkim ogromną ruchliwość, za którą muszą ukrywać się duże przygotowania ofensywne.

Churchill zbadał osobiście sytuację w Rosji, co mu pozwoliło zapewne oderwać się nerwowo od wpływów ośrodków, propagujących w sposób nieodpowiedzialny t. zw. "drugi front." Upewnił się on niewątpliwie co do woli Rosji dalszego zdecydowanego prowadzenia wojny i omówił różne ewentualności w związku z rozwojem ofensywy niemieckiej. Utworzył nowe dowództwo operacyjne na Wschodzie, obejmujące Persję i Irak, pozmieniał dowódców okręgu Średniego Wschodu (Egipt, Syria i Palestyna), porozumiał się zasadniczo z dowódcą okręgu Indji, gen. Wavellem.

W Indiach doszło do istotnego polepszenia sytuacji politycznej, co musi mieć natychmiastowy wpływ na sytuację strategiczną. Oto kierownictwo Ligi Muzułmańskiej, pretendującej do przewodniczenia stu milionom Muzułmanów w Indiach, zajęło stanowisko wobec proklamowanego przez Kogres cywilnego nieposłuszeństwa. Oczywiście trzeba pamiętać, że Liga Muzułmańska ma w programie również niepodległość Indji i że nie jest to organizacja popierająca rządy brytyjskie bez zastrzeżeń. Rezolucja Komitetu Ligi odrzuca jednak cywilne nieposłuszeństwo, odrzuca hasło Kongresu "Opuszczenie Indji" (Quit India — pod adresem W. Brytanii) i daje do poznania, iż gotowa jest czynną polityką poprzeć wysiłek wojenny brytyjski wzamian za obietnicę utworzenia oddzielnych niepodległych państw muzułmańskich. Rezolucja zostawia furtkę otwartą wobec Kongresu, wyrażając gotowość dyskusji nad utworzeniem prowizorycznego rządu niepodległych Indji pod warunkiem, że Kongres zgodziłby się na zasadę Pakistanu. Najważniejsze jednak dla chwili bieżącej jest wezwanie do Muzułmanów wstrzymania się od udziału w działaniach Kongresu i zasada odparcia siłą wszelkich interwencji w normalne życie społeczności muzułmańskich.

W atlantyckiej strefie wojny nadal ciężko waga się losy kampanii podwodnych okrętów niemieckich przeciw transportom ładunkowym amerykańskim i brytyjskim. W tym roku straty w tonażu Sprzymierzonych zaledwie zostaną wyrównane budową nowych statków. Okazało się, że amerykańska flota wojenna nie dysponowała ani odpowiednią ilością małych okrętów bojowych ani doświadczeniem do walki z łodziami podwodnymi. Flota amerykańska była dotąd typową flotą dalekich podróży i klasycznych bitew morskich. Tymczasem transport morski między różnymi okolicami Stanów Zjednoczonych jest olbrzymi i łup dla łodzi niemieckich był niestłuchanie łatwy. Teraz się to zmieniło, a podnieść przy tym należy, że niemieckie łodzie podwodne nie są w stanie przeszkodzić transportom wojsk z Ameryki do Europy. W ogóle konwojem można zabezpieczyć transportowce przeciw atakom z pod wody, chodzi tylko o to, że marynarka wojenna jest licznie zawsze za słaba, by ubezpieczyć dziesiątki tysięcy okrętów handlowych we wszystkich podróży. Są co prawda niektóre strefy szczególnie niebezpieczne. Do takich należy szlak morski do Murmańska, na którym w porze letniej straty w ładunkach sięgają czasem i 50%. Jest to miarą znaczenia, jakie Sprzymierzeni przywiążą do pomocy Sowiетom.

Korsarze podwodni niemieccy zepchnięci ostatnio od wybrzeży Stanów Zjednoczonych na południe, zaczęli topić okręty południowo — amerykańskie. Doprowadziło to do wypowiedzenia wojny przez Brazylię Niemcom i Włochom. W ten sposób Oś straciła potencjonalny przyczółek po drugiej stronie Oceanu. Fakt ten ciężko zaważy na strategicznych planach niemieckich czy to ofensywnych czy to obronnych. Znaczenie Brazylii dla Narodów Sprzymierzonych jest największe ze wszystkich państw amerykańskich oprócz Stanów Zjednoczonych i Kanady. Znaczne możliwości niemieckie w samej Brazylii zostaną unicestwione, a równocześnie Sprzymierzeni zyskują znakomite bazy dla wojny morskiej i ekspedycji na inne kontynenty.

W samej Europie głośnym echem odbił się wypad rozpoznawczy brytyjsko-amerykański przy chlubnym współudziale lotnictwa polskiego na Dieppe. Wypad ten przeprowadzony został znacznymi siłami i cel swój całkowicie osiągnął. Dał on przede wszystkim cenne doświadczenie sztabom alianckim. Dopiero po takim wypadku można planować większe operacje i obliczyć, jakich np. trzeba na to sił powietrznych i ile należy kalkulować na straty, jak należy organizować lądowanie i t.p. Z ciężkiej broni wylądowano nawet czołgi i tylko w dziedzinie artylerii ograniczono się do ognia z okrętów. Zyskano cenne informacje o sile i metodzie walki nieprzyjaciela. Niewątpliwie nie najmniej ważnym dorobkiem musi być raport o walce lotnictwa Sprzymierzonych z naciągającymi na pomoc kolumnami niemieckiej broni pancernej.

Zbliżająca się jesień i zima przesuną zapewne strefy walk na południe, ale już zastój w działaniach wojennych na większą skalę nie spowodują. Strategicznie chodzić będzie o to, żeby Niemcy nie tylko nie mogli nadrobić strat w sprzęcie, amunicji i innych zasobach wojennych, ale żeby nadal krwawili się i drenowali ciężko.

Zastępca

“O arogancji i ucziwym wysiłku myślowym”

Motto: “To więcej niż zbrodnia — to błąd!” (Thiers)

W “Polsce Walczącej” z dnia 22 sierpnia 1942 ukazał się obszerny artykuł p.t. “Więcej umiaru i znajomości rzeczy”, który ma być polemiką z artykułami w “Myśli Polskiej” z dnia 15 lipca 1942 zatytułowanymi “Elementy do orientacji” oraz “Gdzie jesteśmy?” (Horyzont wojenny). Artykuł został podpisany przez p. Tadeusza Wasilewskiego.

Nie chodzi nam w naszych obecnych rozważaniach o polemikę *sensu stricto* z p. Tadeuszem Wasilewskim, lecz jedynie o zanotowanie i podkreślenie dzielących nas różnic. Tego rodzaju protokół może mieć znaczenie w przyszłości, a w każdym razie ułatwi orientację obecnym czytelnikom i przyszłemu historykowi. Ułatwia nam sytuację ogromnie fakt, że p. Tadeusz Wasilewski (i jego środowisko, bo artykuł jego nie może być uważany za wyraz poglądów indywidualnych), nie przeciwstawia naszym koncepcjom — zarówno *Observatora*, jak i *Zastępcy* czy wreszcie autora niepodpisanego artykułu redakcyjnego p.t. “Elementy do orientacji” — własnych koncepcyj, lecz ogranicza się do krytyki — czy rzeczowej, niech osądzą inni — bądź zachęca do recepcji gotowych doktryn niemieckich.

Ze względów techniki pisarskiej, starać się będziemy uszeregować nasze uwagi w kolejności argumentów p. Wasilewskiego, troszcząc się, przy każdej tezie czy uwadze, o wydobyć na plan pierwszy samego problemu, a dopiero potem, niejako w drugim rzucie, o powiedzenie tego, co myślimy o zdaniu p. Wasilewskiego.

UCZĄ SIĘ OD NIEMCÓW . . .

P. Wasilewski nie występuje w swoim artykule indywidualnie, lecz raczej jako mandatariusz autorytetów, przy których się opowiada. Zresztą udziela odpowiedzi na apel wystosowany — w kwestii technicznej: podpalania czołgów w walce — do całej grupy hierarchiczno-wojskowej, a więc widocznie został do tego upoważniony przez swych mocodawców formalnych, bo żadnego zastrzeżenia indywidualnego nie czyni.

Jest to okoliczność bardzo ważna, że w tym samym artykule p. Wasilewski pisze:

“... ze szkoły wojennej niemieckiej trzeba korzystać jak najpełniej i jak najszybciej. A do nauczania się od Niemców pozostaje jeszcze bardzo wiele”.

Nic niebezpieczniejszego, niż taka postawa psychologiczna, zalecana przez p. Wasilewskiego. Czegoż to autor artykułu każe nam uczyć się od Niemców? Czy może filozofii wojny, na co by wskazywała wzmianka o Clausewitzu? Czy może przygotowania i prowadzenia wojny? Czy tylko taktyki?

Stać się uczniem Niemców, to sprawa o konsekwencjach dalekosiężnych. Im głębiej w las, tym więcej drzew. Przejąć od Niemców filozofię wojny, to znaczy zniemczyć się duchowo. Nie jest to ani pożądane ze względów zasadniczych, ani możliwe pod względem technicznym i utylitarnym, gdyż Niemiec prawdziwy zawsze przewyższy “Niemca” syntetycznego, a naśladownictwo Niemców np. w ustroju politycznym i organizacji wojska może doprowadzić u nas tylko do karykatury.

Więc prowadzenie wojny? Ale tu raczej Niemcy są uczniami, co prawda pojętymi, swoich przeciwników. Może p. Wasilewski zagładnie laskawie do “Myśli Polskiej” i przytoczonych w niej cytatów z von Seckta “*Gedanken eines Soldaten*”. Może sobie przypomni, jak to Niemcy nauczyli się odróżniać strategię mocarstw morskich od lądowych, jak stąd wypłynęła doktryna wojny błyskawicznej i błyskawicznego zwycięstwa (słuszna dla Niemców w teorii, przegrana w praktyce), jak jednakże nawet znając teorię przeprowadzili Niemcy te sprawy źle politycznie, stawiając przeciw sobie w tej wojnie znowu i Rosję i Stany Zjednoczone!

Więc przyjmijmy, że p. Wasilewski miał na myśli nie całość niemieckiej doktryny politycznej i wojennej, ale jedynie wyższość doktryny użycia wojsk lądowych, marynarki i lotnictwa (p. Wasilewski wyraźnie chce się uczyć od Niemców “na lądzie, w powietrzu i nawet na morzu”).

Czy i tu jednakże role nie są co najmniej podzielone? Jeśli idzie o twórczą myśl wojenną, to jest co najmniej wątpliwe, kto od kogo więcej recypował. Czegoż to na morzu Anglicy mogliby nauczyć się

od Niemców? I czy to raczej nie Niemcy naśladowują Anglików w konwojach morskich, w bombardowaniu i torpedowaniu okrętów z powietrza (*Taranto* było jednak najpierw)? A może uczyć się wypada Polakom i Sprzymierzonym pojęcia honoru marynarza od załogi *Grafa von Spee*?

A w powietrzu? Czy gdyby Sprzymierzeni nie pracowali i nie myśleli dotąd na własny rachunek, czy by już wojny nie przegrali? Przecież nie mają się co uczyć od Niemców w budownictwie samolotów. Ostatecznie myśliciele brytyjskie wygrały Bitwę o Anglię, a Lancastery zupełnie dobrze inicjują Bitwę o Niemcy . . .

Więc na lądzie? Ależ i tu wiadomo, ile niemiecka myśl wojenna przyswoiła sobie koncepcyj od mózgow angielskich i francuskich, żeby tylko wymienić Fullera i de Gaulle’a.

Więc nie trzeba się “uczyć się od Niemców”, zwłaszcza, że kryją się w takiej postawie dwa niebezpieczeństwa: jedno psychologiczne ulegania czarowi niemieckiej myśli w ogóle i nabywania w ten sposób kompleksu niższości oraz złych obyczajów “wodzowskich”, drugie logiczne i faktyczne. Mianowicie, jeśli sposób prowadzenia wojny i działań operacyjnych *Aliantów* ma iść w ogonie myśli niemieckiej, to wojny tej nigdy nie wygramy, gdyż już *a priori* będziemy zawsze spóźnieni.

Natomiast uczyć się trzeba z przebiegu tej wojny; nie od Niemców ale od faktów. Trzeba samemu myśleć i tego się od Niemców nauczyć nie można. Albo się ma mózg i charakter, albo się nie ma: nie są to artykuły do nabycia gdziekolwiek.

W tym znaczeniu do wyteżonej pracy myślowej nawoływała “Myśl Polska”, przede wszystkim w artykułach “*Observatora*”. Trzeba myśleć na własny rachunek o wygraniu wojny. Jednym ze środków zaś wygrania wojny jest myśleć nie za Niemcami, ale przed nimi, jest wymyśleć nową i oryginalną doktrynę walki wojsk lądowych alianckich!

W tym kierunku pracowała “Myśl Polska”. W artykułach, przeznaczonych dla ludzi myślących, nawoływaliśmy do uczenia się i wyciągania wniosków z Bitwy o Kretę, o Perekop i z wszystkich kampanij libijskich. Stąd też wnioski o utworzenie brygad zaporowych, który przedkładał był czynnikiem oficjalnym, nim został na tle wydarzeń omówiony w artykułach!

W swoim czasie (styczeń 1942) pisał np. “*Observator*” w “*Myśli Polskiej*” o takiej formacji bojowej, jaką w czasach od Tarnowskiego do Żółkiewskiego w Polsce był “*tabor*” bojowy i jaka stosowana była wtedy z powodzeniem w ruchach wojsk i działaniach na terenach płaskich i otwartych i mogłaby być wypróbowana teraz. Jedynym echem — zresztą sympatycznym — był felieton w “*Polsce Walczącej*” (marzec 1942), nadesłany z obozu w Szkocji i świadczący o rozumieniu nowoczesnej wojny przez żołnierzy liniowych (“*zamiast żeby chłopaki kucali za krzakami i strzelali z siedmiorodzajowych karabinów, trza ich było w pancerno-czołgowe brygade jak ta lala*”). Tymczasem w dniu 30 lipca 1942 agencja *Associated Press* ogłosiła w prasie brytyjskiej taki szczegół z walk nad Donem:

“*Mot Pulk*”, nowo-ukute wyrażenie gwarowe nazistów, oznacza czworobok utworzony z czołgów, w środku którego znajduje się piechota, artyleria i tabory bojowe — wszystko zmotoryzowane. Największą zaletą tej formacji jest jej charakter walca parowego”.

Oczywiście, taki szczegół nie przesądza jeszcze, czy próba dała dobre wyniki, ale w każdym razie świadczy o tym, że Niemcy nie czekają, żeby kto inny myślał za nich. A jeżeli już ktoś chce się od Niemców uczyć, to niech wie, że Niemcy stosują już to, co się u nas jeszcze odrzuca.

O CO CHODZIŁO W LIBII

Mało jest tak zabawnych wyrażen w artykule p. Wasilewskiego, jak to, że zasadzka Rommela na czołgi brytyjskie była “udana w sposób niespotykany”. Austriacki generał Mack także twierdził, że Napoleon walczył sposobami w sztuce wojennej niespotykanymi.

Więc “*Observator*” twierdził, że gdyby jednostki pancerne brytyjskie miały mniej elementów rozpoznania, a więcej czołgów do bitwy, nie byłoby pewnych ujemnych wydarzeń w Libii. P. Wasilewski natomiast twierdzi, że skoro czołgi brytyjskie wpadły w zasadzkę, to widocznie elementów rozpoznania w jednostkach brytyjskich było *za mało*. “*Zastępca*”, który pisał artykuł “*Gdzie jesteśmy*” wyraża

zał, że dla szczupłości miejsca wyraził się zbyt ogólnie, tak że może p. Wasilewski nie zrozumiał jego myśli. Twierdzą, że w dniu 13 czerwca nie chodziło o zasadzkę techniczną, ale o zasadzkę taktyczną, już w samej bitwie. Rommel najpierw związać się musiał w walce z czołgami brytyjskimi, a dopiero potem podciągnął swoją artylerię przeciwpancerną, która musiała być ujęta w odpowiedni związek taktyczny, żeby taki manewr w czasie bitwy wykonać.

Nie ściśle conajmniej postępuje p. Wasilewski, podsuwając "Myśli Polskiej" koncepcję zupełnego usunięcia wielkich jednostek piechoty z pola bitwy. Pisaliśmy "całkowicie lub częściowo" i wyjaśnialiśmy, że chodzi nam o teren libijski, co się zaś tyczy terenu europejskiego, to sprawy jeszcze przesądzać nie należy. W każdym razie, skoro p. Wasilewski zapytuje co by było, gdyby na wielką jednostkę przeciwpancerną uderzyła wielka jednostka piechoty, to mu odpowiemy, że nie przestraszylibyśmy się tej "szarzy" nawet wtedy, gdyby na jej czele postępował z obnażoną szablą sam p. Wasilewski. Prostu stworzylibyśmy ogień i z dział i z karabinów maszynowych i zaradkowalibyśmy do wyższego dowódcy, że są ludzie do wzięcia dla naszych jednostek pancernych. Sądźmy zresztą, że o takich zamiarach samobójczych piechoty p. Wasilewskiego powiadomiłoby nas na czas lotnictwo, które jest w Libii *głównym elementem rozpoznania*.

Jednym z zasadniczych też nieporozumień ze strony p. Wasilewskiego jest jego naiwne pytanie, dlaczego nie dać działom przeciwpancernym pancerna również, czyli przemienić artylerię ppanc. w oddziały czołgów. Stąd p. Wasilewski dochodzi do wniosku, że lepiej mieć nowe jednostki pancerne, niż w ogóle jednostki przeciwpancerne.

A może odpowiedzieć p. Wasilewskiemu również na pytanie, dlaczego istnieją w ogóle różne rodzaje broni? Dlatego, że do różnych zadań muszą być różne funkcjonalne organy działania, z których każdy powinien być zbudowany *najekonomiczniej*. Owszem, byłoby dobrze nawet najcięższe działa wsadzić do odpowiednio zbudowanych czołgów, ale czy p. Wasilewski zdaje sobie sprawę z tego, że już dziś mamy czołgi droższe, niż niektóre samoloty bojowe?

Ale w ogóle odsłania się tu zasadniczy rys ujemny argumentów p. Wasilewskiego. My pisaliśmy o tym, co w Libii *było*, on pisze o tym, co byłoby *było*, *gdyby było*. My pisaliśmy o tym, jak to w Libii zagarniano piechotę do niewoli *faktycznie*, on zaś o tym, jakby to w *w jego fantazji* piechota nacierała ładnie na jednostkę przeciwpancerną. My piszemy, że artyleria ppanc. niemiecka rozbiła czołgi brytyjskie, i stąd chcemy dać tej *rzeczywistości* nową formę związku taktycznego, on zaś mówi, *jak by to pięknie było* mieć czołgi, które by poradziły sobie i z tą artylerią. I zamiast starać się o informacje, o co p. Wasilewskiemu łatwiej niż nam, co w Libii robił specjalista ppanc. Sztabu Niemieckiego gen. Nehring — ogranicza się do tego, co "Myśl Polska" napisała i na tym wyłącznie materiale przeprowadza operacje *teoretyczne*, nie mając żadnego związku z rzeczywistymi *operacjami w terenie*.

Nie jest dobrze, jeżeli wojskowy zbyt długo oderwany jest od rzeczywistości wojennej. Jest naszą tragedią, że obowiązek rozwijania i pogłębiania naszej myśli wojennej spada przede wszystkim na ludzi, którzy absolutnie nie mają nic do powiedzenia o tej wojnie z własnego doświadczenia, a nawet ze stage, owej obserwacji. Nie jest to zawsze ich winą, ale tym nie mniej jest to okoliczność smutna.

Z ograniczania się ich do przeprowadzania operacji wyłącznie myślowych, opartych tylko na przypuszczeniach, wynika niesłychane wyostrenie w ich rozumowaniu podziałów przede wszystkim logicznych między różnymi formami walki. Wynika ich profesorskość. Tymczasem różne klasyfikacje zjawisk mają znaczenie wyłącznie tylko jako metoda myślenia, a nie obraz rzeczywistości. W ekonomii takim konikiem był "człowiek ekonomiczny," rządzący się wyłącznie pobudkami ekonomicznymi. Takiego człowieka jednak w rzeczywistości nie ma. I tak samo nie należy doprowadzać do ostateczności podziału na różne formy walki: natarcie, obrona, rozpoznanie. Dla dowódcy kierującego *bitwą* wszystkie te podziały są już tylko kategoriami myślenia, ułatwiającymi mu tylko klasyfikowanie zjawisk. Same zaś zjawiska zlewają się w jedną harmonijną całość życiową, nie papierową.

I stąd nie przekonywa nas powołanie się p. Wasilewskiego na zawierający wiele materiału do myślenia artykuł majora dypl. W.K. w lipcowym N-rze *Bellony*. Mjr. W.K. zakłada sobie dla celów teoretycznych, że pisze o obronie. Wyławia więc z gęstwy zjawisk jednolitych tylko elementy obrony, co jest operacją wyłącznie logiczną. Ale z punktu widzenia praktycznego zaczynanie w walce z Rommelem w Libii "od pieca," że najlepszą przeszkodą przeciwczołgową jest "dostatecznej głębokości linia wodna" byłoby *nonsensem*. W Libii nie ma "linii wodnej," a bić się trzeba.

Co się zaś tyczy wniosków Mjra W.K., to nie są one do przyjęcia *bez zastrzeżeń*. Domaga się on tworzenia kompanii ppanc., choć

mieliśmy je przy pułkach już w 1939 roku, rozdrabniając je na plutony przydzielane batalionom. Za mały to postęp do roku 1942 od plutonów do kompanii!

Sądźmy zatem, że podstawą myślenia o całości dotryny użycia wojsk lądowych nie może być wyłącznie klasyfikacja zjawisk bojowych logiczną wyłącznie, na obronę (musi zniknąć w taktyce pojęcie "frontu"), natarcie i t.d., ale pojęcie *bitwy*, zwyrodniałej w wojnie poprzedniej i odradzającej się w obecnej. My Polacy mamy tu szczególnie wiele danych w naszym temperamencie i w naszej przeszłości, by te zjawiska zrozumieć. Gdyby p. Wasilewski przypomniał sobie, że szkoły, bitwę pod Kircholmem, to by lepiej rozumiał, co się stało 13 czerwca w Libii. Był bowiem już czas, kiedy w sztuce wojennej zajmowaliśmy w świecie poziom równy najwyższemu wtedy wojskowym umysłom i dlatego nie jest wcale jazdą do "śmieszności" zachęcanie do własnej twórczości. Co się zaś tyczy wzięcia na koncepcji wielkich jednostek przeciwpancernych do Wspólnego Sztabu Aliantów, to istotnie nie tylko nie grozi to nam śmiesznością, ale w ogóle to nam nie grozi, a to głównie dzięki takim tytanom myśli wojskowej, które przyjęły, aprobowały i do wierzenia nam podały (Bellona, styczeń 1941), że podstawową jednostką walki dzisiaj jest batalion piechoty. Rzeczywiście było z czym iść do Wspólnego Sztabu Aliantów!

FRAZESY I RZECZYWISTOŚĆ

Pozostaje jeszcze sprawa atmosfery i tonu artykułu p. Tadeusza Wasilewskiego i "background" u, na którym poruszają się postacie dyskusji. P. Wasilewski przyznaje nam, z ironią, rację, iż odłączenie polityki bieżącej od wojska sprzyja jasności myśli wojskowej i dlatego p. Wasilewski do tego się rzekomo stosuje. Nie jest jednak w mocy p. Wasilewskiego ideał ten osiągnąć, bo nie decyduje to, co p. Wasilewski w swoim artykule *pisze*, ale to, co autorytety, przy których się opowiada, w tej dziedzinie *robią*. Najgorzą za, bo organiczną w obecnym stadium, dolegliwością polskiego życia publicznego nie jest wcale różnica zdań i poglądów, ale rozbieżność między tym, co się mówi, a tym co robi — czyli *zakłamanie*. Doskonale też zdajemy sobie sprawę z tego, dlaczego p. Wasilewski od tych tematów ucieka.

Pod kategorię frazesów, niegodnych poważnego umysłu, podciągamy też epitety, którymi autorów z "Myśli Polskiej" p. Wasilewski tak wytwornie darzy. Zaczyna i kończy swój artykuł wywołaniem "arogancja." Nie było takich określeń w naszych artykułach, bo przecież na tym poziomie, który "Myśl Polska" sobie zakreśliła i na którym formalnie p. Wasilewski się znajduje, takie formy mieć miejsca nie powinny. Świadczy to zresztą o zasobie argumentów rzeczowych p. Wasilewskiego, bo to już zwykle tak bywa, że dyskutant, który nie ma wiele do powiedzenia, a koniecznie napiera się mówić, ucieka się do etykietek, do gołosłownej terminologii, zamiast przeprowadzić rozumowanie. Zarzucanie nam braku umiaru i nieznajomości rzeczy opiera się u p. Wasilewskiego nie na *treści* argumentów, ale na *powadze* jego zdania. Na jego autorytecie i autorytecie jego autorytetów. I dlatego on jest *układny*, bo się zawsze opiera o autorytety, my zaś jesteśmy "arogancy," — gdyż w sprawach publicznych prawdę i dobro Polski stawialiśmy i stawiamy zawsze wyżej od "autorytetów."

I wreszcie jeszcze jedna sprawa, dla której już tym razem my obmyślimy etykietkę. P. Wasilewski strzela z za plotu. Nie do nas, nie do "Myśli Polskiej," którą atakuje od frontu. Ale do innych. Przytacza w artykule atakującym "Myśl Polską" cytaty z przemówienia na Radzie Narodowej dr. Tadeusza Kiełpińskiego (ogłoszonego w "Dzienniku Polskim" z dnia 17 lipca 1942), i nie powiada, kogo cytuje, tak że czytelnik musi to przypisać "Myśli Polskiej." Czy to jest *fair* i wobec "Myśli" i wobec dr. Kiełpińskiego, który przecież nie jest bynajmniej z "Myślą" w żadnej formie złączony? A co wspólnego z lojalnością pisarską ma atakowanie pod pokrywką polemiki z "Myślą", *pierwszych przybyszów z wojska polskiego w Sowietach*? Czy p. Wasilewski nie wie, że polski obóz narodowy ma całą swoją doktrynę rozumienia Rosji i że "Myśl Polska" nie musiała czerpać od "przybyszów" charakterystyki — zresztą słusznej — szczeru wielkoruskiego, przeprowadzonej tak świetnie w polityce przez Konecznego? A jaką swoją koncepcję rozumienia Rosji przeciwstawia naszej p. Wasilewski?

Tak to na łamy pisma narodowego weszło niestety w tych okolicznościach nazwisko "Wasilewski," tak chlubnie zapisane w twórczości narodowej polskiej. Nie wiemy, czy p. Tadeusz Wasilewski zdaje sobie sprawę z tego, że nie tylko było ważne w jego artykule, co tam jest napisane, ale i jakim nazwiskiem podpisane. My, w każdym razie, sprawę z tego sobie zdajemy.

Zastępca

Z PRASY I PUBLICYSTYKI

PLANOWANIE EUROPY

PLANOWANIE

P. Voigt, będący dziś jedną z naczelnych postaci w czasopiśmiennictwie brytyjskim, poświęca stale wiele uwagi rozpatrywaniu, a czasem przekłuwaniu igłą analizy krytycznej, wielu współczesnych sloganów i *hobby*, koników jak mówi się po polsku, czy *dasas* jak się mówi we Francji. Po manii federalizmu przysłała kolej w ostatnim numerze *Nineteenth Century* na planowanie:

"Planowanie" stało się czymś w rodzaju szaleństwa (a *craze*), pisze Editor we wstępnym artykule poświęconym, jak zwykle, rozpatrywaniu ogólnej sytuacji, "czymś w rodzaju mistycznej wiary. Zapewne, jakieś planowanie jest konieczne, zwłaszcza czasu wojny — ostatecznie sama wojna musi być planowana. Ale planowanie nie posiada jakichś absolutnych, sobie właściwych (intrinsic) zalet, i może stać się nawet śmiertelnym niebezpieczeństwem dla inicjatywy, przedsięwzięcia oraz osobistej wolności. Ludzie zasobni (men of means) mają ostrą pokusę, by płynąć z prądem. Niepewność losu, w jakiej żyje właściciel czy *manager* samodzielnego przedsiębiorstwa, postępujące wywłaszczenie tych, którzy posiadają samodzielne dochody, rosnąca nieufność wobec niezawisłej myśli i nauki, indywidualnej przedsiębiorczości czy też wszystkiego co się mieści w słowie "indywidualność" — oto elementy będące potężną pomocą dla ogólnego procesu niwelacyjnego. Jest to rodzaj faszyzmu, ale faszyzmu lewicowego, z komunistami, półkomunistami, półinteligentami i popularnymi ideologami. Liczni dziennikarze są rzecznikami tak pojętego faszyzmu. Kapitalista ma dziś ciągoty ku socjalizmowi. Pewność zamienia się na niepewność, widoki na wielkie dochody są mniejsze, — perspektywy absolutnego braku dochodu znikają w socjalistycznym — biurokratycznym państwie! Socjalizm jest nierozłączny z biurokracją, to też widzimy dziś przed sobą rosnącą ekspansję i potęgę biurokracji, której towarzyszy wzrost socjalizmu nie tyle wśród klasy pracującej ile wśród kapitalistów. Nie oznacza to bynajmniej by ci neo-kapitałiści mieli zamiar abdykacji. Wręcz przeciwnie, uważają oni, że socjalizm i planowanie są ich drogą do potęgi i wpływu — do nowej a bezpiecznej pozycji, tym bardziej nęcącej, że jest anonimowa i cieszy się szerokim poparciem popularnej opinii. Stoimy więc nie tyle wobec rewolucji, co rodzaju kontr-rewolucji — czegoś w rodzaju bezkrawawego faszyzmu (bez jego surowości i spustoszeń). Promotorami takiego ruchu są i komuniści i Lord Beaverbrook, ideologiem profesor Laski, zaś popularyzatorami — członkowie t. zw. Trustu Mózgów (Brains Trust), popularni "filozofowie," "naukowi myśliciele," "socjologowie," a nawet "postępowi" czy "nowocześni" członkowie klubu."

Te spostrzeżenia tak wytrawnego obserwatora, jakim jest p. Voigt, zasługują na uwagę i przemyślenie. Nie dotyczy one tylko brytyjskiego społeczeństwa: każde inne społeczeństwo, np. polskie, mogłoby dostarczyć odpowiednich nazwisk. Można by się tu zabawić w rodzaj zastępczej lamigłówki czy krzyżówki.

NA CZESKIM FRONCIE

Syntetycznie zjawiska polityczne ujmująca *Review of World Affairs*, zajęła się w swym sierpniowym numerze ewolucją stosunków czeskich i czesko-słowackich na londyńskim gruncie. Zaszły tam istotnie dość ważne zmiany, że wspomniemy tylko o niedawnym ustąpieniu tak wybitnej osobistości, jak minister Osusky.

Oto jak się te zmiany przedstawiają oczom wytrawnego obserwatora angielskiego:

"Osobista niechęć między dr. Osuskim a dr. Beneszem jest już dawna. Kiedy dr. Benesz stał się prezydentem po Masaryku — obiecał był dr. Osuskim agendy ministra spraw zagranicznych. Później, jednakowoż, Prezydent Benesz postanowił sam zająć się kontrolą spraw zagranicznych, co dr. Osusky niełatwo wybaczył. Po wybuchu wojny Osusky organizował czeskosłowackie wojsko we Francji. Dr. Benesz stał chwilowo poza polityką, zrezygnowawszy z prezydentury. Przebywał w Ameryce. Prestiż dr. Osuskiego rósł; stawał się on rywalem.

Po załamaniu się Francji dr. Benesz powrócił do czynnej polityki, a dr. Osusky został oskarżony o zaniedbanie obowiązków i wstrzymywanie ewakuacji wojska z Francji. Sprawy te roztrząsano na szeregu posiedzeń Rady Państwowej, przyczem Rząd, pod wpływem dr. Benesza, występował w roli oskarżyciela. Dr. Osusky bronił się mocno i oficjalnie zadeklarował się jako przeciwnik prezydentury dr. Benesza. Rada nie doszła do ostatecznych decyzji, sporządziwszy tylko protokół.

Tydzień potem dr. Osusky został zdymisjonowany. Przeszedłszy do zdecydowanej opozycji, wydał wtedy broszurę po słowacku zatytułowaną: "Prawo dla zwycięzców (Zdaje się, że tytuł ten przetłumaczony został mylnie przez angielskiego publicystę; mówiono mi, że brzmi on, jak państwowe hasło Czechosłowacji: "Prawda zwycięży" — przyp. tłumacza). Jest to pierwsza z rzędu broszur, których seria cała zamierza zwalczać "konceptję prezydencką."

Oto główne różnice między dr. Beneszem a dr. Osuskim:

Prezydent wierzy w ograniczoną (limited) federację w Europie Środkowej z Czechosłowacją grającą rolę główną (predominant part), przyczem poszczególne państwa-członkowie zachowałyby szeroki stopień swej suwerenności, zaś kontrola federalna dotyczyłaby głównie spraw ekonomicznych. System ten opierałby się blisko o Rosję sowiecką (would be closely linked with), z którą Prezydent życzy sobie najściślejszej kolaboracji. Co więcej, siebie samego uważa on za ogniwo łączące Rosję i Wielką Brytanię (as the link connecting Russia and Britain). Czechosłowacja ma stać się języczkiem u wagi (balancing factor) w konfliktach europejskich. Prezydent był i jest wielkim optymistą co do wojskowych perspektyw rosyjskich. Jest on jednym z głównych źródeł informacji o Rosji.

Dr. Osusky znów uważa, że Wielka Brytania, ze względu na swój opór stawiony Niemcom po załamaniu się Francji, ma prawo do przewodnictwa (leadership) w Europie. Uważa też, że jest w interesie Kontynentu

by ta koncepcja została przyjęta jako podstawa dla powojennej polityki. Myśli on również, że rola wszystkich krajów europejskich winna być zależna od tej zasady (the role of all European countries should be governed by this principle) i że winna ona być przyjęta tak przez Francją jak i przez Z.S.S.R.

Uważa on dalej, że głównym problemem strategicznym Kontynentu jest problem Europy Środkowej, a mianowicie rejon między morzami Bałtyckim a Egejskim, zawierający Państwa Bałtyckie, Polskę, Czechosłowację, Węgry, Austrię, Jugosławię i Grecję. Sądzi, że rejon ten winien być zorganizowany tak, by ani Niemcy ani Rosja nie odgrywały tam wpływu dominującego. Zastrzegając się przytem, że luźna organizacja polityczna na wzór Małej Ententy byłaby tam bez wartości i że należy zbudować coś bardziej ześrodkowanego (centralised). Dr. Osusky jest bardzo rozczarowany reakcjami Londynu w tej mierze."

Tyle sprawozdawca p. Kenneth de Courcey w *Review of World Affairs*. Jest oczywiste, że tu przedstawiony punkt widzenia p. Osuskiego podobny jest do poglądów *Myśli Polskiej*, zwłaszcza jeśli idzie o stosunek do Niemiec i Rosji. Zwraca zresztą uwagę mała ilość miejsca poświęconego Polsce w tych rozważaniach.

Nie po raz pierwszy niewygodę pewnego trudnego problemu załatwia się jego pominięciem: nie mieści się w szeregu. Jest to coś, coby nazwać można figurą stylistyczną, stylistycznie — polityczną. Proponujemy nazwę zaczerpniętą ze stylistyki i oznaczającą figurę wyrażającą sprawę dużą przez pojęcie małe, lub w ogóle brak pojęcia: *litotes* polityczna . . .

CZY SĄ DOBRZY AUSTRIACY?

Ciekawa polemika międzynarodowa miała miejsce w "Daily Telegraph," organie związanym ze Stronnictwem Konserwatywnym W. Brytanii.

Ostatnio wystąpił na łamach "Daily Telegraph" wicepremier Rządu Jugosłowiańskiego w Londynie, Słoweniec, dr. Miha Krek. Oto tłumaczenie jego listu:

"Czy mogę — w związku z niedawnym listem Barona Podhrady, zatytułowanym "Austriacki protest — stwierdzić, co następuje?

1. Sprawcami okrucieństw, popełnianych w okupowanej przez Niemców części jugosłowiańskiej Słowenii, są przeważnie Austriacy. Odnosi się to zarówno do działalności Gestapo, jak partii nazistycznej. Z całą gorliwością spełniają oni obowiązek powierzony im rozkazem Hitlera: "Uczyńcie Słowenię krajem niemieckim."

2. Wszystkie rządy w byłej Niemieckiej Austrii — socjalistyczne, liberalne i chrześcijańsko-socjalistyczne, ignorowały całkowicie swoje zobowiązania wobec mniejszości słoweńskiej w Karyntii. Ludność, która austriackie statystyki z 1910 roku podawały na 86 tysięcy, nie miała ani jednej narodowej szkoły. Od kiedy Niemiecka Austria stała się niemiecką prowincją "Ostmark," istnienie tej mniejszości jest ignorowane. Czy mogę polecić Baronowi Podhradę lekturę "Słowenicy w Karyntii" dr. Veitera?

3. Nie znam żadnej austriackiej ustawy przyznającej Słowencom "równe prawa." Gdyby zaś istniała, widocznie rządy kolejne w Austrii nie życzyły sobie jej stosowania.

4. Z wdzięcznością dowiaduję się, iż "suwerenne austriackie państwo jest w woj-

nie z Rzeszą niemiecką," jakkolwiek fakt ten wydaje się nie przeszkadzać austriackim żołnierzom w entuzjastycznej z ich strony walce przeciw narodom sprzymierzonym, ani też ludowi austriackiemu w modłach o zwycięstwo niemieckie."

SPRAWY POLSKIE

NADUŻYCIA PRZY POMOCY RODAKOM W ROSJI

O nadużyciach przy pomocy rodakom naszym w Rosji Sowieckiej pisze prasa polsko-amerykańska. Oto relacja nowojorskiego "Robotnika Polskiego," organu socjalistycznego popierającego bardzo wyraźnie obecny kierunek Rządu Polskiego, a więc nie mogącego być poświadczającym o stronniczość:

"Na konferencji prasowej w Konsulacie R. P. w New Yorku, w dn. 22 maja, p. min. Strakacz udzielił prasie polskiej informacji na temat dotychczasowej akcji pomocy dla Polaków w ZSSR.

Do chwili obecnej z funduszków Lend-Lease Act zakupiono towarów wartości ok. 4 milionów dolarów. Wysłano dotychczas ogółem ok. 4.000 ton żywności, odzieży i lekarstw. Według dostarczonego dziennikarzem przez Konsulat zestawienia, wysłano m. inn.: 180.000 używanych płaszców i mundurów wojskowych, 287.000 używanych płaszców damskich i męskich, 226.000 koców, 145.000 par obuwia. Ponadto wysłano ok. 2.878.000 funtów żywności, ponad 3.000 skrzyń mydła, oraz 3.000 litrów szcziponek przeciwyfusowych.

Gdy jednak zanalizujemy powyższe dane, stwierdzimy ze zdziwieniem, że znaczną część, bo ok. 75% wysłanego tonażu odzieży, stanowi odzież używana, która — jak wynika z oświadczenia p. min. Strakacza — wysłana była nieprana i niereperowana. Posłano również znaczne ilości koców bawełnianych, które nie nadają się na warunki surowej zimy rosyjskiej. Posłano wreszcie wielki transport obuwia, którego podszewki — jak to obecni na konferencji dziennikarze sami stwierdzili — sporządzone były nie ze skóry, lecz z nietrwałej masy, przepuszczającej wodę. Rzecz jasna, że obuwie takie nie nadaje się zupełnie na rosyjskie błota i śniegi. Poważne zastrzeżenie budzi również skład transportów żywnościowych, których blisko 70% stanowi fasola i zupa skoncentrowana, produkty o niskiej wartości odżywczej, podczas gdy pełnowartościowe artykuły, jak mleko skondensowane i tłuszcze wysłane zostały w ilości stosunkowo niewielkiej.

Prawdziwy niepokój budzi jednak ujawniona na konferencji sprawa nadużyć i niedozoru przy wysyłce odzieży używanej.

Jedną z największych transakcji zawartych w ramach kredytów Lend-Lease, jest umowa o dostawę używanej odzieży. Okazuje się, że przy ustalaniu warunków tej umowy nie dopilnowano, aby kontrakt zawierał dokładne określenie jakości nabywanej odzieży. Ponadto zgodzono się na wysyłkę towaru niereperowanego i niepranego. Dostawca wykorzystał braki umowy i dostarczał towar w bardzo złym gatunku, często w stanie wręcz nie nadającym się do użytku.

Wysyłka odzieży używanej wymaga z natury rzeczy szczególnie troskliwego nadzoru i dokładnej kontroli. P. min. Strakacz zmuszony był jednak przyznać, że znaczne partie towaru wysyłane były bez żadnej kontroli. Wprawdzie od początku do składów, w których pakowany był towar dopuszczono kontrolerów Min. Pracy i Opieki Społecznej, dostawca zdołał jednak obejść tę — jak się okazało — niewystarczającą kontrolę i w in-

nych składach, do których kontrolerzy nie mieli dostępu, pakował wielkie transporty odzieży bez żadnej kontroli.

Gdy w aferę wdały się władze amerykańskie — stwierdzono, że rozmiary nadużyć są bardzo poważne. Przedstawiciele Department of Treasury, którzy zatrzymali w porcie nowojorskim transport 1.000 bel towaru, stwierdzili, że tylko 20% bel w tym transporcie było uprzednio kontrolowane, 80% dostawca załadował z pominięciem kontroli.

W jaki sposób nadużycia takie były możliwe — trudno pojąć. Kierujący wysyłką towaru urzędnik, p. I. Kołupajło oraz zwierzchnik jego, p. min. Strakacz, rozporządzali stale dokładną liczbą bel skontrolowanych i dokładną liczbą bel załadowanych. Proste porównanie tych dwóch liczb powinno było obudzić ich czujność, gdy stwierdzili, że ładuje się kilkakrotnie większą liczbę bel, niż liczba bel skontrolowanych. Rozbieżność była tak jaskrawa, że nie sposób pojąć, dlaczego przez czas dłuższy uszła ich uwadze.

Sprawa ta jest ciemną plamą na wielkiej akcji pomocy dla obywateli polskich w ZSSR. Pomijamy już sprawę szkód materialnych, jakie poniósł tu Rząd Polski. Są to rzeczy do powetowania. Nie do powetowania jest natomiast zmarnowanie cennego miejsca na statkach, które zamiast pełnowartościowego towaru, przewoziły bezużyteczne rzeczy. Nie do powetowania jest również rozgorzyczenie olbrzymiej masy wynędzniałych Polaków w Rosji, którym z bogatej Ameryki nadesłano rzeczy w tak złym stanie."

Tyle "Robotnik Polski" w Nowym Yorku. Jest rzeczą szczególniej wagi, aby Rząd Polski w Londynie natychmiast te sprawy wyjaśnił. Odpowiedzialny politycznie za te sprawy jest p. min. Stańczyk i nie ma tu nic do rzeczy, iż w dalszym ciągu tego smutnego sprawozdania "Robotnik Polski" twierdzi, że p. min. Strakacz min. Stańczykowi nie podlegał i go nie słuchał. To samo dotyczy tego jakiegoś p. Kołupajły.

Nie mamy powodu wątpić w prawdziwość relacji socjalistycznego tygodnika polskiego z Nowego Yorku. Ale też fakty tam opisane są wstrząsające. Nadużycia popełniane na szkodę nieszczęśliwych naszych braci i sióstr w Rosji Sowieckiej, czekających na ciepłą odzież i żywność w znanych warunkach swego jakże ciężkiego życia, — są szczególną nikczemnością i powinny być kwalifikowane jako łupiestwo na bezbronnej ludności cywilnej, wypędzonej z domostw przez działania wojenne. Ponadto winowajcy powinni być oskarżeni o usiłowanie okradzenia Polski z Jej dobrego imienia, a Ameryki z zaufania do Polski. Pomyśleć tylko, że aż przedstawiciele władz amerykańskich stwierdzili i powstrzymali dalsze nadużycia!

Nie można już obetrzeć łez wygnańcom — rodakom w Rosji, ale można ukarać winowajców. Dlaczego jednak od maja dotąd milczą władze w Londynie, co o tym wie sławetna Rada Narodowa? *Caveant consules, ne nimis multum detrimenti contra se ipsos capiant* . . .

NA CO LICZĄ SOCJALIŚCI

W nowojorskim organie socjalistycznym "Robotniku Polskim" z dn. 5 lipca 1942 ukazał się interesujący artykuł p. Aleksandra Hertz, który cytujemy po opuszczeniu dość ogólnikowego wstępu:

"Kto wie, czy jednym z największych błędów pokolenia polityków z tamtej wojny nie było to, że się pośpieszyli z traktatami pokojowymi, że płynną i rozstrąconą lawinę starali się wlać od razu w sztywne formy, zgóry skazane na rozsadzenie?"

Dziś zaczyna przeważać opinia, że pomiędzy ustaniem wojny a nastaniem pokoju będzie musiał potrwać jakiś okres przejściowy, period of transition — jak mówią jedni, okres zawieszenia broni — jak powiadają drudzy. Pakt sojuszu sowiecko-angielskiego opiera się faktycznie na przesłance konieczności takiego okresu przejściowego.

Jak ten okres rozumieć? Ma on stanowić jakieś prowizorium. Prowizoria mają jedną stronę niebezpieczną: zamieniają się w stan stały. "Tylko prowizorium bywa trwałe" mówi przesądne przysłowie francuskie. Prowizorium bez ustalonych granic czasowych, bez wyraźnych gwarancji, że chodzi w nim tylko o coś przejściowego, może nasunąć niejedną obawę. Ale trzeba rozumieć, że w konkretnych warunkach trudno jest mówić o terminach i o gwarancjach. Wszystko tu bowiem zależy będzie od ogólnego rozwoju wypadków.

Drugim pytaniem jest, kto za ten okres przejściowy bierze na siebie odpowiedzialność? Jasną jest rzeczą, że mogą to być tylko państwa zwycięskie. Ale sytuacja tych państw zwycięskich nie jest jednakowa. Praktycznie rzecz biorąc, mogą tu w grę wchodzić jedynie trzy państwa, których znaczenie jest decydujące — Ameryka, Anglia i Sowiety. Trzeba pamiętać, że z chwilą zakończenia wojny będą one nie tylko rozporządzały kredytem wygranej wojny, ale i będą jedynymi siłami, posiadającymi zorganizowany aparat państwowy, potężne środki militarne, ogromne zasoby ekonomiczne, techniczne, wyjątkową pozycję polityczną. W tym świetle sojusz sowiecki-angielski jest zupełnie jasny. Jeżeli chodzi o Europę, to Anglia i Sowiety biorą na siebie odpowiedzialność i kierownictwo na czas owego period of transition.

Niewątpliwie jednak i Ameryka będzie w tym miała ogromny udział.

Jak ta kontrola (bowiem faktycznie będzie to kontrola) ma wyglądać? Tu sprawa przedstawia się mniej jasno. Pewne koncepcje mówią o podziale Europy na dwie sfery wpływów — angielską (ewentualnie amerykańsko-angielską) i sowiecką. Inne mówią o jakichś formach kondominium. Mówi się o okupacji wojskowej, któraby objęła państwa osi. Przewiduje się jednak również możliwość że obejmie ona chwilowo i te państwa, należące do Narodów Zjednoczonych, któreby nie były zdolne stworzyć od razu swego własnego aparatu administracyjnego i wojskowego. W każdym razie chodziłoby o stworzenie bardziej unormowanych warunków, jako podstawy dla późniejszego zadcycowania o trwałym kształcie życia europejskiego.

Mówiąc jasno — mamy tu do czynienia z nawrotem do idei Świętego Przymierza, oczywiście różniące się znacznie od swego poprzednika z przed stu trzydziestu laty, ale spełniającego pokrewne funkcje. Takie święte Przymierze w pewnych warunkach może stać się nie do uniknięcia. Czy jednak

potrafi ono rozwiązać zadania, jakie przed nim staną? Doświadczenia poprzedniego Świętego Przymierza nie należały do najlepszych. Wszystko zależeć będzie od dwóch okoliczności: od tego, jakie siły zwyciężą w ludach Europy, i z jakim zasobem idei przyjdzie owo Święte Przymierze. To ostatnie zaś zależy skolei od przemian, jakie nastąpią wewnątrz każdego z wielkich partnerów. Fundamentalne jednak znaczenie będzie miała pierwsza okoliczność.

Przyszłość Europy w ogromnym stopniu zależeć będzie od tego, czy w narodach europej-

PALACE ZAGADNIENIE POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

Pałace zagadnienie Polskich Sił Zbrojnych stanowi w tej chwili zagadnienie Lotnictwa. Bardzo wymowny artykuł w tej sprawie przynosi lipcowy numer "Myśli Lotniczej" miesięcznika wydawanego przez Wydział Kulturalny Inspektoratu Polskich Sił Powietrznych. Nie możemy się tu powstrzymać od uwagi, że może lepiej by było, gdyby takie pismo pozostawało pod redakcją, o tym samym składzie osobowym, wyłonioną przez oddziały organizacyjny i operacyjny Sztabu Polskich Sił Lotniczych. Niestety, z samego artykułu wynika, że nie mamy ani takich komórek sztabowych, ani w ogóle żadnego Sztabu lotniczego.

Poniżej podajemy obszernie cytaty z artykułu, którego autorem jest p. Adam Wojtyga "Sytuacja nasza w chwili obecnej jest zupełnie jasna. Mamy pewną ilość jednostek bojowych, które wymagają uzupełnień, aby stały się zdolne do akcji bojowej. Stany wykuszają się wskutek działań wojennych, a więc główną troską jest zapewnienie dopływu świeżych sił. Polskie jednostki bojowe są dowodzone przez Polaków na szczeblu taktycznym. Planowanie operacji, dowodzenie na tym szczeblu, zaopatrzenie, organizacja, wyszkolenie i cały skomplikowany mechanizm służb pomocniczych jest prowadzony przez Anglików w ramach olbrzymiej organizacji R.A.F. Innymi słowy, zadaniem Polaków jest bić się według dyspozycji otrzymywanych od dowódców angielskich. Wszystkie potrzeby związane z walką i przygotowaniem się do niej są załatwiane przez Polaków w ramach dyonowych, natomiast na szczeblu wyższym, przez Anglików. *W rezultacie nie stanowimy niezależnych sił powietrznych o własnym rozkazodawstwie, organizacji, wyszkoleniu i zaopatrzeniu, a jedynie wystawiliśmy pewną ilość dyonów bojowych, którymi rozporządza R.A.F. Dyony te nie stanowią wyższych związków pod dowództwem polskim, lecz wchodzą w skład związków angielskich, tak, jak to ma miejsce z dyonami kanadyjskimi, australijskimi, czy też nowo-zelandzkimi, mieszanymi w ramach danej wielkiej jednostki lotniczej z dyonami angielskimi. Ta jest tylko różnica, że oficer Kanadyjczyk, czy Australijczyk, może być dowódcą takiej wielkiej jednostki, ale Polak, jako obcokrajowiec, nie. Najwyższym związkiem bojowym jednolicie polskim jest "wing" myśliwski, składający się z kilku dyonów. Wing może być użyty w całości pod jednym dowództwem do wykonania określonego zadania, przy czym i w tym wypadku d-ca wingu działa na szczeblu taktycznym.*

Cóż z tego wynika? Bardzo wiele, jeśli chodzi o plusy i minusy tego stanu rzeczy. Rozpatrzmy je z kolei. Do plusów musimy zaliczyć, że mamy bardzo dzielne i dobrze wyszkolone załogi samolotów bombowych myśliwskich. O załogach samolotów

skich dojdą do głosu siły nowe, twórcze, pełne idealizmu i entuzjazmu, czy też takie siły się nie wytworzą i zatryumfują elementy konserwatywne, reprezentujące złą przeszłość."

Sugestie, o których pisze i którym nie jest obcy p. Aleksander Hertz, w dziwnym świetle stawałyby tę wojnę, gdyby były prawdziwe. Jesteśmy jednak zdania, że p. Hertz gruntośnie się myli i przyszłość nie ułoży się tak, aby Europa walcząca o wolność mogła być po zruczeniu jarzma niemieckiego jeszcze raz okupowana.

współpracy trudno coś mówić, bo one nie przesły jeszcze próby ognia, ale niewątpliwie można przypuszczać, że równie dobrze się spiszą, jak ich koledy z innych rodzajów lotnictwa. Mamy dalej, doskonale wyszkolonych mechaników i specjalistów lotniczych w ramach dywizjonowych. Mamy wreszcie dowódców, o dużej praktyce bojowej na szczeblu dywizjonów i eskadr. A więc dowódców szczebla niższego, wykonawców.

To zdaje się i wszystko, jeśli chodzi o plusy. A teraz minusy. Nie mamy wyższych dowódców i sztabów, które by prowadziły lub choćby współpracowały w opracowaniach akcji operacyjnych.

Nie szkolimy załóg, za wyjątkiem pilotażu podstawowego. Nasz udział w szkolnictwie jest bardzo podrzędny, ograniczający się do holowania rękawów, wożenia strzelców lub nawigatorów na zadania ćwiczebne według instrukcji i pod kierownictwem angielskim. Nie mamy swojej organizacji, lecz jesteśmy włączeni w ramy organizacji angielskiej.

Nie mamy jednostek zaopatrujących i nie bierzemy w tym dziale pracy udziału.

Nie administrujemy ani sprzętem ani ludźmi.

Nie mamy jednostek technicznych, które by zaspakajaly potrzeby naszych jednostek bojowych.

Ziemia organizacja lotnisk i ich obsługa do nas nie należy.

Nie sposób wyliczyć tego wszystkiego w czym nie bierzemy udziału. Faktem jest że nie mamy zupełnie jednostek tyłowych, nieoperacyjnych. Nasz udział w angielskich jednostkach nieoperacyjnych jest mały i podrzędny, a przy tym raczej przypadkowy niż planowany.

Jeśli chodzi o świat nauki, o lotnicze instytucje naukowe badawcze, to tam wogóle nie jesteśmy dopuszczeni. Rola nasza w przemyśle lotniczym jest bardzo skromniutka. Ogranicza się do niedużej ilości robotników. Inżynierowie nie znajdują tam pola pracy dla siebie. Konstruktorzy mogą być najwyżej kreślaczami, a warsztatowcy praktykującymi podmajstrzymi.

Minusy tu przytoczone, jeśli chodzi o Polskie Siły Powietrzne są dla nas bardzo dotkliwe, w odniesieniu natomiast do Anglików prawie bez znaczenia. *Anglicy nas wyręczają w wielu dziedzinach prac, które moglibyśmy sami wykonywać. Przez tę wyrękę wojny zapewne nie przegrają, ale natomiast, my sami bardzo dużo możemy stracić."*

A cóż będzie przy powrocie do Polski, zapytuje autor:

"No i cóż wtedy? Prawdopodobnie dywizjony nasze wystartują z doskonałych i zasobnych lotnisk angielskich, aby przez równie doskonałe lotniska niemieckie, holenderskie, szwedzkie, czy duńskie, wylądować w Polsce. Czy z dywizjonami tymi odejdą również do

Polski angielskie dowództwa i sztaby, bazy zaopatrzeniowe, warsztaty reperacyjne, składy, szkoły, służby lotniskowe, łącznościowe, uzbrojenie i t.d., które zaspakajaly tutaj wszystkie potrzeby życia i walki naszych dywizjonów? Jeśli tak, to w porządku, to nawet z tej reszty, która się tutaj "obja" po rozmaitych stacjach nieoperacyjnych można by w rezultacie zrezygnować. Ale jeśli nie, to nasze dywizjony znajdą się w sytuacji człowieka zagubionego na pustyni. Bez przygotowanego zaopatrzenia i obsługi technicznej, bez całej skomplikowanej organizacji terenowej, skazane będą na prędko koniec. A przecież nasze zadanie na przyszłość nie ograniczy się do utrzymania przy życiu tych tylko dywizjonów, przeciwnie, musimy ich wybudować niewspólnie więcej. I to nie kiedyś, za x-lat, ale natychmiast, na gwałt, w pośpiechu, który usprawiedliwi każdy wysiłek, aby tylko nie być spóźnionym, aby nie dać się znowu wyręczyć przez kogoś, który chętnie weźmie pseudo-ochronę naszego bezpieczeństwa na siebie.

Pierwszym, najpilniejszym zadaniem będzie utrzymać przy życiu te jednostki, które przejdą z Anglii do Polski. Drugim, niezmiernie ważnym, będzie jak najszybsza rozbudowa lotnictwa do poziomu odpowiadającego zadaniom, jakie Polska będzie miała do spełnienia w tej części Europy. Jak te zadania będą, można by przewidywać, ale dla pewnych względów lepiej będzie pominąć je obecnie milczeniem. W każdym razie winniśmy raczej być przygotowani na gorsze, niż lepsze, a po drugie, nie powinniśmy zapominać o starej prawdzie jak świat, że nie tylko wrogowie liczą się z silnym ale i, może nawet więcej, przyjaciele.

Koniec wojny nie będzie równoznaczny z pokojem w Europie. Dokąd dojdzie armia rosyjska? Którędy i jak wycofają się wielomilionowe armie z Rosji. Pomimo przegranej będą stanowić olbrzymią siłę militarną na Wschodzie, którą tylko głupcy mogliby lekceważyć. Jak zachowają się wtedy garnizony niemieckie w Polsce i cywilna ludność niemiecka już dziś organizowana i ćwiczona na sposób wojskowy.

Któż może odpowiedzieć na te pytania? Zdaje się, że tylko my sami. Nie przez bawienie się w prorocтва, lecz przez celowe zorganizowanie już dziś takich sił, które potrafią odegrać należną im rolę tam, gdzie biegają wszystkie nasze myśli i uczucia gdzie, w danym momencie, za wszelką cenę, musimy być silni. *Nie zapominajmy, że fakty wtedy dokonane mogą na przyszłość mieć daleko większe znaczenie, niż wszelkiego rodzaju przyrzeczenia, czy umowy, obecnie zawarte."*

Zacytowaliśmy tylko część obszernego artykułu. Nie ma co ukrywać: jest on jedną wielką krytyką czynników kierowniczych polskich za ten stan rzeczy odpowiedzialnych. Autor napewno tego nie zamierzył, ale na to wyszło. Bo przemawiają przede wszystkim fakty.



Przy tej sposobności zwracamy uwagę naszym Czytelników na coraz lepsze fachowe pismo "Myśl Lotnicza." Redakcja tego miesięcznika zamieszcza w pierwszej rocznicy powstania pisma artykuł pełen wymówek pod adresem szerokiego kół Czytelników. Apel jest przekonywujący. Żle będzie, jeżeli szerokie rzesze polskie lotnicze i nielotnicze pozwolą dać się ogłupić i odziczeć umysłowo przy tyłu sposobnościach rozwoju umysłu i charakteru. Nie uleż gnuśności — oto hasło na czas najbliższy.

ZAGADNIENIA KOŚCIELNE

OBAWA KOŚCIOŁA PRZED KLERYKALIZMEM

Nadchodzące z Francji wiadomości, pisze *Tablet*, stwierdzają, iż Kościół broni się tam przed zbytnim wciąganiem w tryby systemu państwowego. Postawa jakże ciekawa w kraju niedawnych prześladowań antykościelnych...

“Mgr. Gounod, Arcybiskup Kartaginy i prymas Afryki, wydał instrukcję przestrzegającą księży swej diecezji przed obejmowaniem posad dyrektorów *Legion Française*. Mgr. Gounod jest mocnym poplecznikiem Marszałka Petaina, ale instrukcja ta zdaje się potwierdzać wrażenie, iż Hierarchia francuska nie życzy sobie, by Kościół został zbyt silnie związany z reżimem.

“Kiedy p. Chevalier był Ministrem Wychowania, starał się on odrobić w parę tygodni całe prawodawstwo laickie całego pokolenia. Rządy Vichy były wtedy oskarżane o “klerykalizm.” Sytuacja zaczęła być dość niepokojąca na to, by nastąpiło odwołanie p. Chevaliera, bodaj na prośbę — Hierarchii Kościelnej. “Nic nie mogłoby być gorszego, pisała jezuicka *Cité Nouvelle* na początku tego roku, ani niebezpieczniejszego, niż to co się nazywa “klerykalizmem.” Cytowało wtedy to pismo ostrzeżenie arcybiskupa Tuluz, Mgr. Salige: “Kościół dezaprobuje klerykalizm, i nie życzy go sobie za żadną cenę.” *Cité Nouvelle* konkludowała niedwuznacznie: “niechybnym rezultatem klerykalizacji państwa jest kontrola państwa nad Kościołem. Ani Francja ani Kościół nie mają nic do zyskania w “gouvernement des curés.”

FASZYSTOWSCY KATOLICY FARINACCI'EGO

Jak czytamy w *Tablet* Signor Farinacci w swym *Regime Fascista* zaatakował gwałtownie Uniwersytet Katolicki w Mediolanie, pismo katolickie *Italia* w tymże miesiącu wychodzące oraz w ogóle politykę Watykańską za anty-faszystowską działalność i żydofilstwo.

Farinacci uderza zresztą bezpośrednio — w samą katolickość katolicyzmu. “Może ktoś tu powiedzieć, zauważa, że katolicy winni iść bez wahania za polityką Watykanu i Prasy Watykańskiej. Jest to kolosalna omyłka. Po pierwsze, z definicji już Kościół jest powszechny, międzynarodowy i ponad-narodowy. Zaś my jesteśmy dumni z tego, że jesteśmy wyłącznie włoskimi katolikami t.zn. faszystowskimi katolikami.”

Na to nikt nie poradzi, że katolicyzm z nazwy i ducha sięga poza poszczególne narodowości. Bez tego nie byłby wszakże katolickim t.zn. powszechnym. Nie wynika zresztą z tego ani trochę by “prasa watykańska,” i polityka Watykanu, były nieomyślne w rzeczach wiary niedotyczących.

Atak p. Farinacci'ego sięgnął i poza Italię, w osobę dostojnego i tak sercom polskim drogiego kardynała Hinsleya, a to za jego ostatni protest przeciw metodom stosowanym w okupowanej Polsce także i wobec Żydów.

Sprawą tą zajęła się znów niekatolicka *Truth*. “Było nie do uniknięcia, że Kardynał Hinsley został zaatakowany za swą odwagę i ludzkość. Farinacci, po nieudanej próbie rzucenia prasy watykańskiej przeciw kardynałowi, sam postarał się o odpowiedź. Farinacci odgrzebał z pyłu dwuchsetletniego

encyklikę papieża Benedykta XIV “In quo primum,” na którą się powołuje jako na autoryzowanie przez papieża żydowskich rzezi. Encyklika ta, której nie udało mi się wynaleźć, miała jakoby być zwróconą do prymasa, arcybiskupów i biskupów ówczesnej Polski. Brzmiała ona, jeśli Farinacci'emu wierzyć, tak: “Dowiadujemy się, że pewne okolice Polski są zalane przez Żydów w stopniu takim, że nie ma tam już w ogóle śladu chrześcijaństwa. Gorszym jeszcze jest to, że ci zbrodniarze mają dostęp do dworów możnych jako rządcy z tytułem “Marszałka dworu,” zyskując w ten sposób prawo życia z Chrześcijanami i nadużywania swej władzy

kosztem Chrześcijan. Obiecujemy z wami współpracować dla wyzwolenia szlachetnej Polski z poniżenia i wstydu.”

“Jeżeli nawet autentyczność tego tekstu byłaby potwierdzona, komentuje *Truth*, jest on jeszcze bardzo dalekim od usprawiedliwienia rzezi rasowej. Nie idzie on wszakże dalej niż obietnica poparcia próby uwolnienia katolickiej Polski od niesprawiedliwej przemocy niechrześcijańskiej mniejszości. Zaiste wcale to inna sprawa!”

Ze swej strony nie możemy nie zauważyć bardzo “nieencyklicznych” zwrotów w tekście Farinacci'ego. Trzebaby sprawę tą zbadać źródłowo.

Z PRASY ŻYDOWSKIEJ

ŻYDZI Z POLSKI W SOWIETACH

Ciekawe szczegóły o zagadnieniu Żydów z Polski w Rosji Sowieckiej podaje Londyńska *The Jewish Chronicle*:

“Wśród wielu kłopotów, które wypłynęły wślad za wybuchem wojny Hitlera z Rosją, znalazła się sprawa losu setek tysięcy Żydów i Polaków, którzy uciekli do Rosji przed najeźdźcami. Polacy znajdują swoje miejsce narodowe w szeregach nowej Polskiej Armii, umieszczonej teraz w Persji. To samo się dzieje z tymi Żydami z Polski, którzy pochodzą z obszaru na zachód od granicy niemiecko — sowieckiej z roku 1939. Z drugiej zaś strony ci Żydzi, którzy pochodzą z części Polski położonej na wschód od tej linii, są tam uznawani, razem z innymi mniejszościami, za obywateli rosyjskich i jako tacy nie mogą być wcieleni do Armii Polskiej. Jakkolwiek powierzenie mogłoby to wydać się sytuacją względnie prostą, w rzeczywistości nie przedstawia się to tak jasno, gdyż różnicowanie narodowościowe między rdzennymi Polakami ze Wschodniej Polski i członkami mniejszości z tych okolic pociąga za sobą trudne komplikacje pod wielu względami, a w szczególności w sprawie odmawiania zezwoleń wśród nich (mniejszości) Żydom — liczącym około pół miliona — wyruszenia razem z Polakami do obszarów jak Persja i Błiski Wschód w celu przeszkolenia wojskowego. Jest zagadnienie, czy sprawy tej nie możnaby załatwić. A może jeszcze lepiej, czy nie można by znaleźć wyjścia z trudności przez przeniesienie zdolnych do wojska mężczyzn z pośród 450 tysięcy Żydów do Palestyny w celu zaciągnięcia ich, o tyle o ile to możliwe, do żydowskich szeregów nowoutworzonego Pułku Palestyńskiego? W ten sposób możnaby kwestię obywatelstwa odsunąć na bok na jakiś czas, a Narodom Zjednoczonym okazać militarną przysługę. Wartoby, by Rząd Rosyjski mógł zaoszczędzić chwilę czasu, wśród swoich ogólnie uznanych trosk, i okazał swoje stanowisko wobec tych propozycji, a może równocześnie wyjaśniłby fakty i całą sytuację.”

Na marginesie tych ciekawych informacji należy zaznaczyć dla ścisłości, że Polacy w Sowieciech nie znaleźli się jako uchodźcy, ale jako jeńcy wojenni lub deportowani wbrew konwencjom haskim cywile.

Druga zaś sprawa, to na jakiej podstawie obywatele polscy z Polski Wschodniej, nie będący rdzennymi Polakami, uważani są

w Sowieciech za obywateli sowieckich i jakie jest stanowisko w tym względzie Rządu Polskiego? Dlaczego min. Stroński tych spraw nie wyjaśnia?

CZYM SĄ ŻYDZI?

Problem zaznaczony w naszym tytule wypłynął ostatnio na posiedzeniu brytyjskiego Parlamentu w dniu 7 sierpnia 1942. Od dłuższego już czasu opinia brytyjska i amerykańska zajmowały się sprawą armii żydowskiej. Sami Żydzi nie byli co do tego zgodni. Syjoniści — rewizjoniści domagali się utworzenia dużej armii żydowskiej po stronie Aliantów, rekrutującej się z mas żydowskich bez względu na przynależność państwową. Oficjalna organizacja syjonistyczna stała na gruncie oddziałów żydowskich rekrutowanych z Palestyny tylko i zaliczanych do armii brytyjskiej. Znaleźli się jednak i Żydzi, którzy protestowali w ogóle przeciw koncepcji tworzenia odrębnego wojska żydowskiego. Argumentację ich przedstawił najlepiej Żyd, poseł do brytyjskiej Izby Gmin z Cheltenham, p. Lipson, podający się za niezależnego konserwatystę. Oto jak streszcza przemówienie p. Lipsona w Izbie Gmin “*The Jewish Standard*”:

“P. Lipson oświadczył, iż życzyłby sobie zwrócić uwagę na ten punkt widzenia, który znalazł był wyraz w dzisiejszej debacie, a który — wedle jego zdania — jest szkodliwy w samej swojej koncepcji. On sam uznaje, że Żydzi są społecznością religijną i że jest rzeczą słuszną, żeby ten pogląd był podkreślony. Antysemita utrzymują, iż Żydzi są oddzielnym narodem, i w ten sposób usprawiedliwiają rozróżnienia (discrimination) wprowadzone przeciw Żydom w różnych krajach świata. Ten argument podtrzymywany jest również w poglądach wysuwanych przez żydowskich nacjonalistów, którzy również mówią o żydowskim narodzie.

“Nie możecie ciągnąć korzyści z obu światów” (you cannot have the best of both worlds), oświadczył p. Lipson. “Nie możecie w tym samym czasie mówić: ‘Jestem dumny z przynależności do narodu żydowskiego i domagam się wszystkich płynących stąd korzyści i przywilejów’ i twierdzić równocześnie: ‘Jestem brytyjskim obywatelem, Francuzem albo Amerykaninem, z prawami równymi prawom innych obywateli.’ Odczuwam, iż nacjonalisci żydowscy igrają z ogniem, ponieważ dostarczą poparcia tezie antysemitkiej, iż Żyd jest obokrajowcem w każdym kraju. Nie jest to prawdą.”

Ostatecznie Rząd Brytyjski postanowił utworzyć przy Armii Brytyjskiej odrębną Pułk Palestyński, który składać się będzie z batalionów żydowskich i arabskich, niekoniecznie równych liczbowo. Pod tym względem więc p. Lipson powinien być zadowolony, jakkolwiek problem zarysowany przez niego tak wymownie nie przestał tym samym istnieć.

PODWOJNA PRZYNALEŻNOŚĆ

Lewicowy *New Statesman and Nation* zamieszcza recenzję świeżej książki Ludwika Namier'a, profesora Historii Nowoczesnej na Uniwersytecie w Manchester, p.t. *Conflicts*. Autorem recenzji jest znany krytyk Raymond Mortimer, którego artykuły są zawsze warte czytania. W rzeczonyj recenzji Mortimer zajmuje się m.i. entuzjazmem Namier'a dla syjonizmu.

"Tu, p. Namier zamienia bezinteresowność historyka na entuzjazm rzecznika. Jego *essay* o Żydach jest wymowny i wzruszający, ale wykazuje niechęć (reluctance) do zajmowania się faktami — nie pretekstami — wywołującymi antysemityzm."

P. Mortimer zastrzega się wyraźnie, że nie wierzy w szereg zarzutów wymierzonych

w Żydów, tak jak nie wierzy w argumenty bijące w wolno-mularzy, i Jezuitów. Nie mniej, i mimo oburzających go prześladowań antyżydowskich chwili obecnej, zaznacza:

"Sądzę, mimo to wszystko, że dla sparowania antysemityzmu, należy uznać pewne fakty, które są nie tylko nieprzyjemne, ale i prawdziwe."

Do faktów tych należy ekсклюzywizm żydowski, istniejący nawet u tych Żydów, którzy posiadają przynależność do innego kraju. Łączy się z tym zawikłana sprawa emigracji żydowskiej.

"Nie tylko sowieccy Żydzi, ale i socjaldemokraty Żydzi we Wschodniej Europie są, jak rozumieć, przeważnie przeciwni syjonizmowi. Natomiast p. Namier, który jest konserwatystą, uważa syjonizm za jedyne remedium przeciw antysemityzmowi. Co prawda zdaje się też sądzić, że duża większość Żydów w Anglii, Francji i Ameryce pozostanie w tych krajach. Zaprawdę, nie było by dla nich miejsca w Palestynie, nawet gdyby tam iść chcieli, nawet gdyby wypędzić Arabów. Otóż p. Namier nic widzi jednego, a mianowicie prawdopodobieństwa, że żydowskie państwo w Palestynie spowoduje wzmocniony antysemityzm w innych krajach. Takim jednak byłby ostateczny rezultat. Jak

dotąd prawo i opinia publiczna i tu i w Stanach Zjednoczonych uważały Żydów za zwykłych obywateli, na których patriotyzmie można polegać. Ale żaden kraj nie da ochoczo (willingly) obywatelstwa tym, których pierwsza lojalność kieruje się do innego państwa. Na wypadek stania się żydostwo narodowością — czyż nie zachodzi niebezpieczeństwo, iż Żydzi poza Syjonem zostaną ograniczeni do tych tylko przywilejów, którymi cieszy się francuska kolonia w Londynie czy angielska w Cannes? Sądzę, że syjonizm jest rozwiązaniem, które poświęci większość Żydów na rzecz mniejszości, która znajdzie miejsce w Palestynie."

P. Raymond Mortimer jedyne wyjście widzi w asymilacji, co prawda, jak przyznaje, odrzucanej przez nacjonalistów żydowskich na równi z nazistami. P. Namier również zdecydowanie przyznaje, iż asymilacja zawiodła. Jednakowoż poza nią p. Mortimer nie widzi ratunku: "albowiem jak długo Żydzi pozostaną w Diasporze i uparczywie prowadzić będą życie odrębne, skazani są na to, by być uważani za państwo w państwie" (for so long as most Jews both remain in the Diaspora and insist on leading separate lives, they are bound to be resented as a state within the state).

KSIĄŻKA

LAST TRAIN FROM BERLIN

Howard K. Smith.

London—The Gresset Press

7 grudnia 1941 r. młody dziennikarz amerykański Howard Smith przejechał szczęśliwie granicę szwajcarską. Zatrudniające go towarzystwo radiowe i prasowe z dużym wysiłkiem wydoszło go z Berlina, dlatego, że Smith już od dawna miał na piniku z cenzurą i władzami niemieckimi. Otrzymał się jeszcze na wspomnienie trupiej atmosfery Berlina, a w Szwajcarii tymczasem wszystko go zachwycało. Zamiast melancholii berlińskiej, na jaką on i liczni jego koledzy periodycznie zapadali, Smith poczuł wkoło siebie świat inny, rządzony pokojem i swobodą. Domy zdawały się nowe i świeciły barwnym, świeżym tynkiem. W bufecie w Bazylei lista potraw na jadłospis była tak długa, że nie wierząc oczom, spytał, czy naprawdę dostanie to o co prosi. Dookoła niego ludzie ubrani byli w materiały nowe, a co najważniejsze, solidne. W Bernie, wieczorem koledzy po fachu zaprosili go na obfitą kolację, ofiarowując mu dużych rozmiarów kotlet i whisky do picia tyle, ile zażądał.

Śczęście swoje z jadła i napoju, będących symbolem wolności, Howard Smith opisuje tak długo i naiwnie, że tym samym go poznajemy. Nie jest z rzędu ludzi, którzyby swój entuzjazm wyrażali słowami:

Młodości ty nad poziomy

Wylatuj . . .

Za młodszych lat H. Smith dużo grywał w football. Otrzymałszy pierwsze stypendium, parę miesięcy podróżował po Niemczech. Dzięki innemu stypendium wyjechał do Oxfordu i tam wyróżnił się, bo został wybrany na prezesa studenckiej Partii Pracy. Wojna przerwała jego nauki, więc podpisał kontrakt, w roli dziennikarza wrócił do Berlina.

W pierwszym okresie tej roboty, warunki zdawały się wręcz idylliczne, cenzura jakby

nie istniała. Niemieckie urzędy propagandy i spraw zagranicznych, jak mogły ułatwiać życie korespondentom neutralnym. Mieli oni do swego rozporządzenia aż dwa kluby, a w nich wszelkie udogodnienia techniczne. Władze niemieckie szczególnie wyróżniały Amerykanów, otaczając ich tą układną, schematyczną uprzejmością, której odrzucenie napelnia tychże Niemców szczerym oburzeniem. Dodać należy, że od początku Howard Smith czuł nieprzejednaną wrogość w stosunku do swoich nazistowskich gospodarzy.

Prawie dwa lata minęły, w ciągu których mit Hitlera i niemieckiej Walhalli rósł w potęgę, a amerykańscy korespondenci dostawali periodycznych napadów berlińskiej melancholii. Szybkość letniej kampanii w Rosji też nie zdawała się pocieszająca. Aż oto, wedle H. Smith'a nastąpił nieoczekiwany zwrot. Hitler, wróciwszy do Berlina, w bardziej minorowym tonie zrobił apel do trzeciej kampanii opieki zimowej.

Następnego dnia, 9 października, neutralni dziennikarze, a wśród nich H. Smith zostali zawezwani do sali Ministerstwa Propagandy, żeby usłyszeć z ust samego dr. Dietricha, przedstawiciela Hitlera, że kampania rosyjska jest już zakończona. Nagłówki gazet niemieckich drukowały, przez następnych parę dni, to samo motto, rozstawionymi literami. 13, 14, 15 października rozmiar nagłówek zmniejszył się, a treść mówiła tylko o operacjach postępujących zgodnie z planem. Po czym wszyscy zaczęli rozumieć, że armie rosyjskie nie są zniszczone i że po raz pierwszy, po dwu latach nieustannego powodzenia, propaganda niemiecka przeinacza prawdę.

Z opowieści dalszych wynika, że naród niemiecki trzymany w żelaznych korbach organizacji hitlerowskich, przyjmował apa-

tycznie wiadomości o zwycięstwach. Jedno tylko poruszyłyby naprawdę te tłumy — świadomości, że zwycięstwo jest ostateczne, a za tym umożliwiające pokój.

Sądzić też można z książki Smith'a, że obliczenie Hitlera i jego doradców nie dopisały ku jesieni 1941. Do tego czasu pod względem żywności panowała w Niemczech rozrzutność. *Łupienie Francji napelniało restauracje doskonałymi winami, a każdy dom niemiecki towarami i zagrabionymi przedmiotami zbytku.*

Natomiast zużycie, brak jedzenia i wszystkie pośrednie skutki dezorganizacji, związane z wojną, gdy raz wtargnęły do Niemiec, zaczęły rosnać ze zdwojoną szybkością. Sklepy opustoszały, administracja cywilna wpadła w chaotyczność, zabrakło rzemieślników, przestano naprawiać zamki, wodociągi, elektryczność, wszystko zaczęło się psuć i psuć szybciej, niż przypuszczano. Równocześnie pękły pozory przyjaźni amerykańskiej i liczna grupa dziennikarzy została otoczona przez wrogów, nie ukrywających swego gniewu. Nienawiść do Roosevelta prześcignęła w swojej zapalczywości wściekłość na Churchill'a. Smith opisuje mnożące się szkany niemieckie, szczególnie nocne wtargnięcia Gestapo do biur *United Press*, po tym uwięzienie, w celu steroryzowania reszty, dziennikarza Hottet. On sam i jego koledzy po fachu, trwając nadal na posterunku dzielnie bronili prawa wolnego informowania prasy nazewnątr Niemiec. Jak jeden z nich, straciwszy chwilowo nerwy, prosił wydawcę z New Yorku o odwołanie, otrzymał przez telefon transatlantycki następującą odpowiedź: "Trudno przyjacielu, masz przydzielony Berlin. Gdybym cię wysłał do opisanego wylewu Mississipi, tobym się nie przejmował, gdybyś przy tym zamoczył nogi."

Smith tłumaczy nam jasno, że obezwładnienie i apatia rzeszy w Niemczech jest tak powszechna, że żadnych nie należy pokładać nadziei na odruch protestu z wewnątrz. Jeśli ludzie starsi pozwalają sobie na ciche szemranie, to cała młodzież, wychowana w doktrynie hitlerizmu jest tak sfanatyzowana, że widok tych młodych istot, działających pod wpływem paru refleksów, jak maszyny, wypełniał Smith'a przerażeniem.

Liczne zachodzą tarcia między fachowymi wojskowymi, przedstawicielami dawnej tradycji militarnej, a nową elitą pretorianów, czyli czystej wody typami Nazi. "Jeśli Hitler wygra wojnę, pisze Smith, ci młodzi i piękni Niemcy będą najbardziej bezwzględni i brutalnymi panami Europy na przeszło pół wieku." Marzy się naszemu dziennikarzowi o jakiejś rewolucji pałacowej, o jakiejś kłótni u góry, któraby rozdzieliła i osłabiła tę żelazną organizację, ale w gruncie rzeczy nie widzi wielkich ku temu danych. Rządzący zdają sobie sprawę, że w toczonej się walce chodzi nie tylko o panowanie nad światem, ale o ich własne życie. Inne uczucie cementuje bezwolne ujarzmione masy, strach przed konsekwencjami przegranej wojny, obawa przed karą, nędza i jeszcze gorszym poniżeniem.

Może jedynym ośrodkiem oporu w Niemczech, to cicha walka prowadzona o prawo do swobód religijnych. W walce tej, codziennej i uciążliwej, Kościół Katolicki ponosi ciężkie straty, ale jak zwykle nie ustępuje. Odwagę wyróżniają się dwaj biskupi: Konrad hr. von Reising, biskup Berlina i prawie więcej jeszcze znany biskup Munsteru, hr. von Gallen.

Czytając Howard Smith'a musimy przyklasnąć jego fachowości przy zbieraniu informacji i talentowi w opowiadaniu. Okazuje się on jednak słabym politykiem wówczas, kiedy rozgorączkowany ogniem walki, podaje własne środki zaradcze. Przeszłość Europy jest mu całkiem obca, a nawet dokładna znajomość wypadków, w ciągu ostatnich 20 lat poprzedzających obecną wojnę. Dlatego pragnie *Totalnej Demokracji*, nieśmiało nazwać tego komunizmem i wierzy tylko w rewolucję, jako jedyny sposób zrzucenia niemieckiej przemocy. Narodów, jako poszczególnych jednostek z ich ustalonym przywiązaniem do odrębnego bytu, nie bierze w rachubę. Zamyka nas tym samym, jakby w błędnym kole, w miejscu tak znanym czytelnikom Ewangelii, gdzie panuje wieczny płacz i zgrzytanie zębami. Jasne jest bowiem, że ruchy rewolucyjne, będące wyrazem nadwątlonej budowy społecznej, doprowadziły do owych potwornych tyranii, które szereg wolnych państw pozbawiły bytu.

Podobnie, w pojęciach Howard Smith'a ideały wysuwane dla szczęścia ludzkości są bardzo ograniczone. Nie domyśla się nawet, że może istnieć coś cenniejszego jak wysoki poziom życia, dobra odzież, mieszkanie i jedzenie. Tak się jednak dziwnie zdarza, że zbyt jednostronnie pojęta teoria o podziale dóbr, albo wyłączna pogoń za materialną korzyścią — sprowadza stan wrzenia, walki i wojny, a co za tym idzie wielką nędzę i nieobliczalne straty.

Bagaż moralny wywieziony ostatnim pociągiem z Berlina jest zatem lekki.

Polakom wystarczy nawrócić do własnej historii i literatury, aby przypomnieć sobie, jak bogato zostali obdarzeni w dobra duchowe i jak wspaniała, jak heroiczna, tradycja walki o wolność przyswieca dalszym ich losom.

Jan Rajceki

BOGUSŁAWSKI PO ANGIELSKU

(*Mist before the Dawn, Poems by Antoni Bogusławski, done into English verse by L. E. Gielgud. London, George Allen and Unwin, Ltd. 1942.*)

Antoni Bogusławski jest chyba najszcześliwszym z poetów polskich w Wielkiej Brytanii, gdyż pierwszy z nich, o ile się nie mylimy, cieszyć się może całym tomikiem wierszy przetłumaczonym i wydanym po angielsku.

Wiersze Bogusławskiego znajdują zawsze chętnych i przychylnych czytelników wśród publiczności polskiej. Bogusławski bowiem utrzymuje się wcale dobrze w stylu szkoły utworzonej w naszej poezji przez gawędziarza Wincentego Pola i przekazanej naszym dniom przez Artura Oppmana (Or-Ota). To samo co u nich umiowanie przeszłości i swojszczyzny, ta sama skłonność kreślenia niewielkich, a zawsze wdzięcznych, nieco sentymentalnych, obrazków i opisów przepojonych liryzmem, ta sama nutka wojenna i tem sam żarliwy patriotyzm, który choć nie sięga wyżyn ideologicznych naszych największych poetów — przecież bardzo skutecznie przemawia do uczuć ogółu.

Poznać u Bogusławskiego dobre wykształcenie klasyczne, które go chroni nieraz przed mielizną frazesu, i głęboką kulturę literacką, gwarantującą nawet smakoszom poezji miłe chwile w czasie lektury. Zamiłowanie przeszłości u Bogusławskiego nie pozwala mu oderwać się od niej również pod względem formalnym, co czasem wpływa nawet na popularność poety u rzeszy tych czytelników, którzy w poezji szukają tylko tego, co już im jest znane. W sumie, choć Bogusławski nie sięga po laury wieszczę, a kontentuje się niższym lotem w poezji, twórczość jego świadczy bardzo dobrze o szerokim podkładzie uprawy literackiej, jakim na szczęście rozporządza kultura polska.

Chodzi teraz o to, jak poezja Bogusławskiego przemawia do czytelników angielskich. Polak, który tego problemu nie zbadał bezpośrednio, może wyrażać tylko przypuszczenia. Więć sądzimy, że już samo zrobienie wyboru przyczyniło się do dobrej prezentacji. Autorom płodnym, jak Bogusławski, wybór zawsze dobrze robi. Wybranie zaś wierszy, wyrażających przeważnie odczucia i przeżycia poety polskiego w związku z jego pobytem w czasie tej wojny w W. Brytanii, jest dalszym krokiem, naszym zdaniem, we właściwym kierunku. Nie zawahamy się też wyrazić przekonania, że ziemiańska atmosfera niektórych utworów także powinna wiersze przybliżyć do czytelnika angielskiego. Największym jednak atutem poety to chyba tłumacz, p. L. E. Gielgud, Anglik ze znanej artystycznej rodziny pochodzenia polskiego. Nawet Polak powierzchownie tylko zapoznany z językiem angielskim poznać może, że przekład jest nie byle jaki. W ostatnim wierszu ze zbioru tłumacz wydobyl efekt zamierzony podświadomie, ale nieosiągnięty przez poetę. Bogusławski mówi o kawalerii polskiej zsadzonej z siodła na "dalekim brzegu" (wiersz ogłoszony w "Polsce Walczącej"), Gielgud tłumaczy: *But they unhorsed us on the other side.*

Angielskim czytelnikom najlepiej może przedstawi muż Bogusławskiego wiersz o Mr. Pickwick'u w czasie nalotu niemieckiego na Londyn. Jest w tym pomyśle cały Bogusławski, jego odczytanie, kultura i... jego ideały życiowe.

(dokończenie obok)

Listy do Redakcji

Z DZIEDZINY DYPLOMACJI

Do Redaktora "Myśli Polskiej,"

Pisze Pan — albo ktoś z pańskich współpracowników — w ostatnim, 30., N-rze "Myśli Polskiej," w przeglądzie prasy, iż min. Stroński w swojej mowie radiowej z dnia 29 lipca dzieli Polaków na prawomyślnych i nieprawomyślnych z punktu widzenia stosunków Rzeczypospolitej ze Związkiem Sowieckim. Muszę wziąć min. Strońskiego w obronę. Takie stawianie sprawy przed forum zagranicznym: kto był bardziej przyjazny wobec Sowieców a kto mniej, lub wcale nie, jest co prawda wielce osobliwe, ale min. Stroński nie był pod tym względem ani pierwszym ani jedynym. W dniu 15 czerwca 1942 premier Sikorski wygłosił mowę w Radzie Narodowej, ogłoszoną w dwa dni później w "Dzienniku Polskim," w której oświadczył:

"Ci, którzy chcieli 30 lipca odroczyć podpisanie układu, gdyż za kilka dni miała paść Moskwa, byli w jak największym błędzie."

Jest rzeczą zainteresowanych osób polemizować czy prostować to twierdzenie, czy je nawet przyjąć i potwierdzić, że tak było naprawdę. Jest ich rzeczą również wybrać stosowną chwilę, by polemiki wewnętrzne polskie nie wywierały ujemnego wpływu na stan naszych spraw na forum zagranicznym. To wszystko jest jasne. Prosiłbym tylko, aby ktoś z czytelników "Myśli Polskiej" zechciał mi podać, czy w annałach dyplomacji znajduje tego rodzaju przykład, aby jedna ze stron w układzie międzynarodowym podawała do wiadomości drugiej strony szczegóły swoich wewnętrznych rozdzwięków i dyskusyj... Nawet na pierwszych Sejmach litewskich — polskich, a więc już po unii personalnej, delegacje polska i litewska występowały wobec siebie nie wedle zasad narodowego Sejmu, ale międzynarodowego Kongresu — t. zn. nie ujawniały na zewnątrz rozbieżności w łonie danej delegacji. Czyżbyśmy cofnęli się od wieku piętnastego? Do czego doprowadzić mogą takie licytacje wobec partnera zewnętrznego?

Londyn, 23 sierpnia 1942.

Externus

(dokończenie z łamu poprzedniego)

W przedmowie p. F. B. Czaromski doskonale charakteryzuje tłumacza, o którym powiada, że umiał po polsku tyle, co "przeciętny Anglik" (tłumaczył z tekstu francuskiego), oraz poetę, o którym znowu pisze, że "jako kawalerzysta nie został wezwany do wzięcia czynnego udziału w Bitwie o Wielką Brytanię." Trudno o lepsze "understatements." M. R.

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja:

92, Eamont Court, Regents Park,
London, N.W.8

Telephone - - PRImrose 4350

Prenumerata kwartalnie:

(6 numerów) - - - 6/- lub \$2

Prenumerata półrocznie:

(12 numerów) - - - 12/- lub \$4